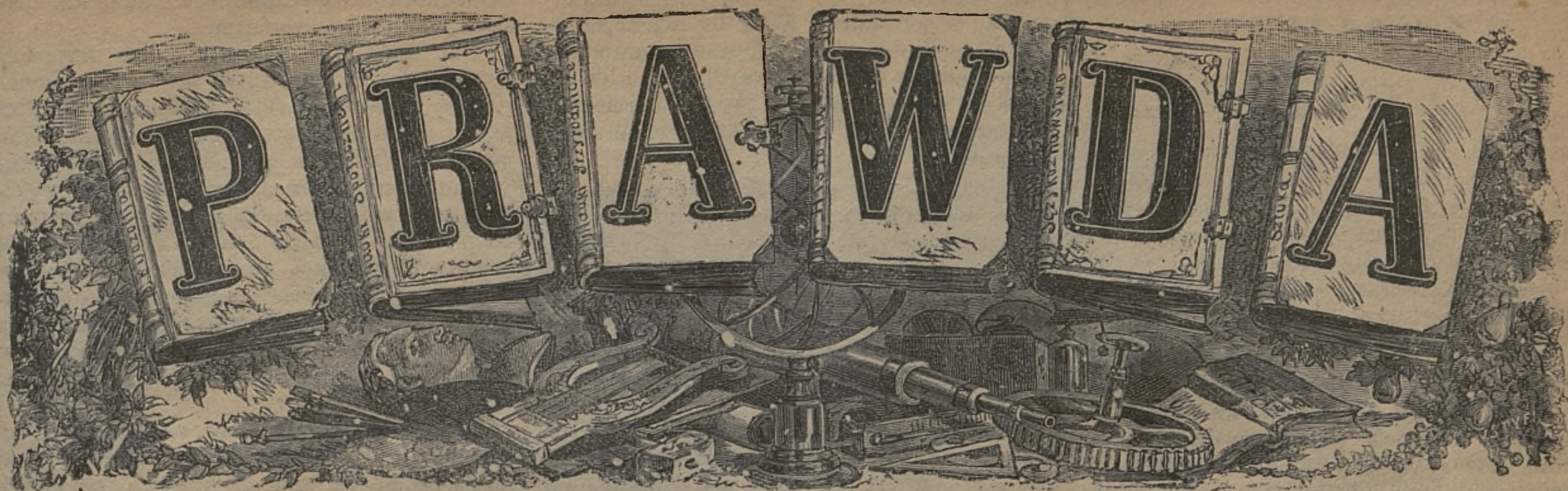
№ 26. Warszawa, dnia 30 (18) Czerwca 1883 r. Rok III.



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY" (wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 k. 50, rocznie rs. 10.

Adres Redakcyi i Administracyi Włodzimierska Nr. 2.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach, w Petersburgu w Księgarni Ungra, Plac Kazański Nr. 7.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ. Im prędzej tem lepiej. — Z Galicyi p. Rewerę. — W wieczór zimowy p. W. Marrené. — Seminarzysta myślący p. T. T. Jeża. — J. Turgeniew (dokończenie) p. T. Krajewską. — Szczęście wobec pesymizmu III. p. J. Kotarbińskiego. — Piśmiennictwo polskie: K. Kalinowski Pamiętnik mojej żołnierki p. M. B.; Smolikowski Filozofia wyzwolenia p. D.; Spencer Szkice p. J. W. D —Liberum veto p. Posła Prawdy.—W perspektywie p. Maryana Bohusza.—Tydzień polityczny.— Cudze głosy.—Kronika bieżąca. — Odpowiedzi redakcyi. —Ogłoszenia.

Do dzisiejszego numeru dołączamy — jako dodatek bezpłatny — dokończenie trzeciego tomu dzieła Brandesa: **Główne prądy literatury XIX wieku.** Ażeby tom ten zamknąć, dajemy zeszyt powiększony. W następnych kwartałach wydrukujemy tom czwarty tej, tak słusznie wielkie zajęcie budzącej pracy, a następnie abonenci nasi otrzymają obszerny podręcznik **Ekonomii politycznej**, o czem osobny prospekt uwiadomi.

IM PRĘDZEJ — TEM LEPIEJ.

Najbrutalniejsza, żadnymi więzami moralnymi nieskrępowana siła może jeszcze zbudzić jakieś zaszczytne dla siebie uczucie, podziw lub bodaj przestrach. Gdy Attyla, Cezar albo Napoleon pustoszą świat, jak uragany, kładniemy na ich głowy wieniec sławy potężnych rozbójników. Ale gdy z siłą sprzymierzy się cynizm, gdy zwycięstwo tryumfuje urąganiem pokonanej ofierze, wtedy słynny bandyta spada do miary zwykłego oprawcy, wtedy gaśnie wszelki jego urok a wawrzyn zmienia się na pokrzywy. Zapominają o tem często niemcy, a raczej prusacy. Od lat stu zabierają, dzielą, podbijają ziemie obce, a nie poprzestając na chwale korsarskiej, zniżają się do bezecnych najgrawań. Niedawno na tem miejscu podaliśmy rysopis pewnej postaci liberalizmu niemieckiego, który, zaprawiwszy wykrętami swe szczytne hasła, urzeczywistnia je w gnębieniu obcych narodowości. Otóż prasa tego obłudnego żywiołu, gromiąc rząd swój za świeże ustępstwo w sprawie wykładu (polskiego) religii w szkołach i napadając na poznańczyków, wzniosła się do takiego cynizmu, do jakiego chyba dotąd nigdy podłość ludzka *jawnie* się nie wzniosła. Jeden bowiem „liberalnych" dzienników niemieckich woła do polaków pruskich: ponieważ zginąć musicie, więc *im prędzej tem lepiej*; po co daremnie przedłużać konanie! Może tak rzeźnik myśli, bijąc obuchem wołu w szlachtuzie, ale podobnego okrucieństwa publicysta do zwyciężonego narodu jeszcze za naszej pamięci nie wypowiedział. To już nie walka, ale bluźnierstwo, obrażające wszystkie uczucia ludzkie.

Nie cofajmy się wszakże przed ohydą tego wykrzyku i zastanówmy się nad nim spokojnie. Przypuśćmy, że tak się odzywa nie wróg, ale przyjaciel. Po co wy szlązacy, poznańczycy, mazurzy itd. bronicie się, kiedy zagłada wasza jest nieuchronną? czy nie szkoda waszych straconych wysiłków na pisma ludowe, szkoły, czytelnie, wiece i tym podobne środki przeciw wynaradawianiu, kiedy one wam nie pomagają? Czy nie lepiej poddać się konieczności dobrowolnie i potomkom, którzy się wychowują w łonie zwycięskiego społeczeństwa, oszczędzić tych bezowocnych szamotań? Bezwątpienia, gdybyśmy z temi pytaniami stanęli jedynie przed trybunałem *praktycznego* rozsądku, przyznałby on im wiele racyi. Istotnie, gdyby rodzice polscy w Niemczech wychowali swe dzieci w germanizacyi, zapewniliby im los daleko lepszy, niż rzucając je w walkę plemienną. Ale takiej rezygnacyi stają na drodze inne pytania, mianowicie: Czy owe zapasy nie są aktami wielkiej cywilizacyjnej tragedyi i czy do niej nie wnoszą wzniosłych zasad i uczuć, na których się obracają koła ogólnego postępu? Czy w tych starciach nie krzeszą się iskry, które oświetlają drogę pochodu całej ludzkości? Czy jest to zwykła bijatyka Janów z Frycami, czy też bój siły z prawem? Dla nas nie są to zagadki. Ale odwróćmy sprawę z drugiej strony: gdyby nawet znaczenie tej walki nie sięgało po za granice jej pola, czy ostateczna przegrana zwyciężonych jest pewną a ich zupełna zagłada nieuniknioną? Wątpiącemu przyjacielowi radzilibyśmy czekać, urągającemu wrogowi radzimy nie zasiadać na tronie historyi, lecz cofnąć się w jej ciemne, zdrożnościami napełnione otchłanie. Dopóki wyroki dziejów piszą się bagnetami, mogą niemieccy liberałowie tryumfować, ale niech się nie litują nad niepraktycznością społeczeństw, które wolą dłużej konać i nie proszą, ażeby im męki skrócono. Bo i konanie ma swoje rozkosze, przyjemności i chwałę, których nie uczuje i nie pojmie nagle pod płotem wyrosły i szybko próchniejący grzyb pruski. Synowie Germanii, te owady, które wyroiwszy się niezwykle oblazły całą Europę i na każdem miejscu jej ciała, gdzie tylko żer znajdą, znajdują zarazem i swoją ojczyznę, te owady nie rozumieją miłości jaskółek przywiązanych do swego gniazda i strzechy. Ich instynktom może odpowiadać filozofia: „im prędzej, tem lepiej," ale nie stanie się ona nigdy regułą życia narodów, które sądzą, że godne są lepszego losu, niż służyć za *Kanonenfutter* dla niemców. Końca przyszłości nie widać — droga jesze bardzo długa — kolej zmienna — zegar czasu nieprędko ostatnią swą godzinę uderzy; czy zaś dalej i później ci sami będą na przedzie, którzy dziś słabszych po drodze mordują i obdzierają — to wielkie, bardzo wielkie pytanie. Możemy więc spokojnie czekać, albo — jak chce liberalizm niemiecki — daremnie przedłużać konanie. Grób będzie wiecznie otwarty, śpieszyć się więc i dobrowolnie weń rzucać nie potrzeba, tem więcej, że przed śmiercią warto wiedzieć, czy go ominąć nie można. Żadna Pytya nie wywróży, ile smok teutoński ma lat szczęśliwego życia — a cóż dopiero mówić o głodnym i chciwym pismaku niemieckim!

Z GALICYI.

Lwów, d. 16 czerwca.

Jeszcze o wyborach. — Raki galicyjskie. — Nieco o geszefcie literackim. — Dziwna karyera autora *Dziwnych karyer*. — „Gazetnicy“ i „dziennikarze.“ — Kapłani tradycyi i „nafciarze.“ — C k. humorysta. — *Gazeta lwowska* pod nową redakcyą. — Teatr lwowski pod dyrekcyą p. Dobrzańskiego. — *Nieboszczyk* pp. Czerwińskiego i Urbańskiego.

Ogólny pogląd na wynik najświeższych wyborów do sejmu galicyjskiego podano już w *Prawdzie* na innem miejscu. Nie wiele też wskutek tego mam do nadmienienia. Cóż zresztą powiedzieć o tych 44 przedstawicielach szlachty galicyjskiej, o których w liście *Z Czerwonej Rusi* nie można jeszcze było wydać sądu z powodu, że wybór ich nastąpił dopiero w kilka dni później? Z wyjątkiem kilku — dziesięciu może najwyżej — są to jeden w drugiego zwolennicy panującego obecnie w kraju stronnictwa rządzącego, do którego zaliczyć należy zarówno stańczyków, jak i podolaków, w części także ateńczyków, tworzących środek w sejmie lwowskim.

Cóż więc, powtarzam, jest do powiedzenia nowego o tych, co stoją już lat z dziesięć u steru krajowej barki a wiosłowaniem wstecz dali się już nieźle poznać prowincyi naszej? Sława ich, mająca główne swe źródło w staniu i nieugaszonej żadnym z dotychczasowych zawodów chęci stania przy sprzyjającym rządzie, przedarła się już zresztą dawno także i po za północny kordon kraju; nie mam zatem najmniejszego interesu wynajmować się jej za trąbę, będąc przekonanym, że choćbym jak najczulsze wydobywał z niej ryki, nie otrzymam za to ani grosza zapłaty wobec niezmiernie silnej konkurencyi dawnych i świeżo zarekrutowanych panegirystów...

O, tych za pieniądze zawsze kupi!...

Nie chciej zaś sądzić, czytelniku, aby to był przytyk do p. Jana Lama, znanego fejletonisty *Dziennika polskiego* i autora kilku powieści... Dziwną jest, zaprawdę, literacka karyera tego utalentowanego pisarza! Chadzał on borem i lasem, t. j. pisywał najprzód w *Gazecie narodowej*, następnie w *Dzienniku polskim* — dotychczas jednak sumienie jego byłoby jeszcze najzupełniej w porządku. Któż bo, warto zapytać, nie tylko ze starszych, ale i z młodszego pokolenia dziennikarzy lwowskich nie otarł się o oba te pisma? Są nawet tacy, co pielgrzymkę tę odbyli bodaj czy nie dwukrotnie!

A jednak ani na myśl nie przyjdzie nikomu wytknąć *gazetnikowi*, że był naprzód *dziennikarzem* lub naodwrót. *Narodowcy* żyją z *polakami* w najprzykładniejszej zgodzie a polityka wydawców, nakazująca popierać jednemu pismu interesy Banku kredytowego, drugiemu zaś hipotecznego, jednemu Sapiehów, drugiemu Potockich— nie obchodzi ich zgoła. Istotnych różnic politycznych między *Gazetą* a *Dziennikiem* niema wcale. *Ah, pardon!* O małom nie przepomniał, że pierwsza nie może się jeszcze dotychczas oswoić z „żydofilstwem“ drugiego...

W każdej zresztą z obu tych redakcyj grupują się ludzie najrozmaitszych przekonań, którzy prowadzą politykę do pewnego stopnia na własną rękę. Obok wajdelotów katolicko-polskiego znicza znajdziesz między nimi i *nafciarzy*, gotowych każdej chwili towarzyszyć Ludwice Michel w jej cywilizatorskiej misyi oświetlenia Paryża.., I godzi się jakoś ta brać literacka ze sobą, gniecie się, jak małe strzewążki ze szczupakami w saku, bo dla braku pism gnieść się musi, ale bodaj czy jeden z nich pomyślał o tem dotychczas, aby szukać karyery... w departamencie prasy c. k. namiestnictwa!... Były wprawdzie wyjątki, ale w matnię rządową wpadły one gnane koniecznością albo pobudkami, nieznanemi nam zresztą, któreby je może wytłomaczyć zdołały do pewnego stopnia.

P. Lama jednak usprawiedliwić nie potrafi nic zgoła, chyba... chęć obfitszego zarobku. Nie lubię zaglądać nikomu do kieszeni, bez względu na to, czy on się tam zwie Offenheimem, czy nawet Sapiehą; tej atoli miary ludzie, jak Lam, zdają mi się należeć nie tylko do swojej własnej rodziny, ale i do całego społeczeństwa, mogą zatem i powinni podlegać jaknajściślejszej w podobnych, jak powyższy, razach rewizyi. Inaczej nie mielibyśmy najmniejszej kontroli nad ludźmi, którzy zajęli stanowisko mentorów narodowych. Jest zaś nim Lam bez wątpienia, jakkolwiek nauki swoje zabarwia humorem, czasami zgoła niepoważnym.

Tak tedy p. Lam, ów Lam, któremu brakowało nieraz słów do wyszydzenia *Gazety lwowskiej*, został na stare swoje lata jej c. k. humorystą. *Dziennika* jednak nie porzucił. Ozdabia go po dawnemu swemi „Kronikami lwowskiemi,“ które w wysokim niewątpliwie przyczyniają się stopniu do poczytności tego lichego zresztą pisma, orędownicze zaś austryackich w Galicyi interesów napędzać zamierza prenumeratorów za pomocą fejletonów p. t. „Z kraju i ze świata“ albo raczej, jak Chochlik dowcipnie się wyraził, „Z c. k. kraju i świata...“

Już to trzeba przyznać, że urzędowy organ Galicyi dosyć zręcznie bierze się pod nową redakcyą (c. k. komisarza namiestnictwa — o nazwisko mniejsza!) do kopania dołków pod pismami, które składać muszą dosyć wysoką kaucyę i opłacać stempel dziennikarski. Nowy augur prawomyślności urozmaica nieustannie łamy swojej gazety. Postarał się o korespondencye z Warszawy (inspirowane, jeśli się nie mylimy, w *Kuryerze Warszawskim*), zamówił sobie nawet oryginalnego komedyopisarza polskiego na redaktora odcinka i referenta spraw teatralnych. Jest nim p. *Orgon Nie-Apelles...*

Mimowoli przypomniał mi szan. towarzysz p. Lama z pod urzędowej chorągwi, że teatrowi lwowskiemu należy się odemnie już dawno wzmianka. Scena tutejsza dostała się wreszcie, jak już wiadomo czytelnikom *Prawdy*, z pod nieudolnego zarządu p. Adama Miłaszewskiego w ręce rutynowanego dyrektora p. Dobrzańskiego, redaktora *Gazety narodowej*, który już dawniej, wspólnie z niezapomnianej pamięci synem Stanisławem, kierował sceną naszą przez lat dziewięć. Z pewnych względów nie mogę zbytnio szafować pochwałami dla samej dyrekcyi, pozwolę sobie natomiast nie — pochlebić, ale prawdę tylko powiedzieć lwowskiemu personelowi scenicznemu, że w takim, w jakim się obecnie znajduje, składzie, nie zrobiłby pewnie wstydu nawet którejkolwiekbądź stołecznej scenie. Z towarzystwem, w którem figurują takie nazwiska, jak pp. Kwiecińskich, Fiszera, Aszpergerowej, Zamojskiego, dalej pani Nowakowskiej, Żelazowskiego, Wojdałowicza, panny Stachowicz, Lu-

---

²)

W wieczór zimowy.

OBRAZEK

przez

Walerye Marrené.

Wszystko było w porządku, oprócz biednej istoty, która wskutek tego przyszła na świat. Świat ten był dla niej istotnie tradycyjnym padołem płaczu, bo brakło jej nawet tego, co posiada ogół najbiedniejszych dzieci: ojciec nie dał jej nazwiska, a matka mleka, którego w piersiach nie miała. Pierwszego braku wprawdzie uczuć nie mogła, ale drugi dał jej się dotkliwie we znaki; okazywała też swoje niezadowolenie ciągłem kwileniem. Dziecię to jednak było bardzo uparte, bo pomimo tego kardynalnego braku od czterech tygodni, jak przyszło na świat, upierało się żyć koniecznie, może dla tego, że życiem swojem nikomu nie przynosiło szczęścia. Ha! zresztą, ktożby to śmiał powiedzieć! Kiedy biedna matka spojrzała na tę wątłą istotę, której dała życie, to zapalały się w jej zagasłem oku dawne iskry, jakby budziła się młodość cała, i przyciskała je do piersi z namiętną siłą. Gotowa była wpatrywać się przez godziny całe w jego bezkształtne rysy i wyciągać rękę, ażeby dać mu trochę mleka, którego w piersiach jej brakło.

Kto wie, gdyby je była w stanie wychować kosztem największych ofiar, czy nie byłaby się jeszcze czuła szczęśliwą! Ale jak je wychować? Do roboty pójść nie mogła. Skryła się przed dawnymi pracodawcami w oceanie nędzy wielkiego miasta wraz z swoją hańbą. A ktoby ją dziś przyjął do domu — obszarpaną, bosą prawie, odartą? Wstydby jej było pokazać się komukolwiek z znanych osób, a u nieznajomych, wiedziała, że nie znajdzie wiary, ani zaufania na tyle, by jej pozwolono próg domu przestąpić. Zresztą, choćby jej nawet dano robotę. Gdzie zostawić dziecko? Komuje oddać w opiekę?

Było to położenie bez wyjścia, wiedziała o tem. Radzono jej wprawdzie oddać dziecię której z kobiet, trudniących się nietylko karmieniem niemowląt, ale nawet wyprawianiem ich pomaleńku na świat drugi. Ona wzdrygnęła się na myśl podobną, a kiedy, wiedziona rozpaczą, zajrzała do jednej z tych cuchnących nór, gdzie kilkoro drobnych istotek wegetowało w nędzy i opuszczeniu, ścisnęło jej się serce i wyszła czemprędzej, nie powiedziawszy ani słowa, bo pomyślała, iż wolałaby zadusić dziecko swoje własnemi rękami, niż skazać je na taką nędzę.

Ona kochała to dziecię, które przyniosło jej nieszczęście i hańbę. Tylko miłość to była bezsilna, dana jej na to, by powiększała męczarnie własne, męczarnie jego.

Gdy powróciła dnia tego z miasta, dziecię płakało swoim zwyczajem. Zatrzymała się chwilę niepewna. co uczynić miała. Dnia tego zastawiła ostatnią poduszkę, dano jej tak mało, tak strasznie mało, iż nie miała odwagi wydać tych marnych kilkudziesięciu groszy. Poduszka była ostatnią rzeczą, jaką jeszcze zastawić mogła; kiedy więc spojrzała na te dwie drobne, srebrne monety, które były jedyną zaporą pomiędzy dzieckiem a głodową śmiercią, ściskała je w dłoni konwulsyjnie, jak tonący zbawczą deskę, utrzymującą go na powierzchni fali.

A przytem miała powody kryć się z groszem. Winna była za komorne głównym lokatorom i gdyby Maciejowie zobaczyli u niej te dwie srebrne monety, wydarliby je z pewnością. Wprawdzie wymyślali jej oni porządnie, ale łajania i wymysły obijały się tylko o jej uszy; znosiła je bohatersko, bo i cóż uczynić mogła, oczekując z drżeniem chwili, w której wyrzucą ją na śnieg wraz z dzieckiem i zabierą nawet nędzny tapczan i trochę słomy, na której sypiała.

Wsunęła się nieśmiało do izby ponurej, jak nieszczęście. Dziecię płakało, a Maciejowa, która gospodarowała koło komina, dojadając jakąś resztkę. klęła, życząc energicznie biednej istotce, nietylko by zmarniała, ale żeby połamała ręce i nogi.

Matka, wchodząca, słyszała dobrze te klątwy, znosiła je w milczeniu tak samo jak pogróżki swoich gospodarzy. Podeszła cicho do dziecka, wzięła je na ręce i przy

bicza, Zboińskiego, wreszcie pp. Wolcńskich, pań Zapolskiej, Cichockiej i Gostyńskiej, p. Walewskiego i wielu jeszcze innych — podjąć się można wystawiania sztuk najtrudniejszych z najzupełniejszym o ich los spokojem.

To też w krótkim przeciągu czasu, paru zaledwie miesięcy, ujrzeliśmy już kilka nowych a pięknych rzeczy. Wspomnę tu tylko o *Nieboszczyku*, sztuce tendencyjnej, napisanej przez pp. Czerwińskiego i Urbańskiego, o której jednak powiem szerzej w liście następnym.

Rewera.

SEMINARZYSTA MYŚLĄCY.

Jest li to w rzeczy samej śpiew łabędzi? czyli też rzucony przeciwnikom i potwarcom pocisk? O śpiewie łabędzim autor sędziwy mówi sam, uskarżając się na dolegliwości wieku późnego i chwaląc się sytością sławy. „Bądź co bądź — powiada — czas, co mi jeszcze do życia może pozostaje, poświęconym będzie poszukiwaniom prawdy czystej, objektywnej. Gdyby to pismo moje było zwierzeniem się ostatniem, jakie czynię publiczności, niech mi wolno będzie podziękować jej.“ Przypuszczenie zaś, że to pocisk, nasuwa się na myśl samo przez się, dzięki wspomnieniom z przed laty dwudziestu. Kto lat dwadzieścia temu zajmował się sprawami publicznemi, kto czytał, uważał, zastanawiał się, ten przypomina sobie, że z powodu jednej książki psucia krwi było dużo, o! dużo.

Pamiętam czasy te. Żywo mi one w oczach stoją. Byłem wtenczas w Paryżu. Z powodu zapowiedzianego kazania poszedłem do kościoła *Assomption*. Pierwsza kazania połowa pełną była otuchy. Rzecz się zmieniła, gdy do warunków przyszło. Kaznodzieja od razu postawił szatana, który się w łono Polski wgryza i którego wystrzegać się należy. O szatanie tym mówił długo. Gdy go opisywał, poznałem, że była to osobistość ludzka — ktoś ze spółziomków naszych. Kto? Mówca zapowiedział, że go nazwie, przez co wzbudził ciekawość moją w stopniu wysokim. Opowiadał o zniszczeniach, jakie szatan ów, jeśli go Polska z łona swego precz nie wyrzuci, sprawić może — o zniszczeniach strasznych, o zagładzie, o zatracie wiekuistej. Obrazy, jakie stąd wysnuł, były przerażające. „Któż to szatan ów?“ —zapytywałem siebie i, zapewne, że słuchaczów każdy zapytanie to sobie zadawał. Odgadnąć nie zdołałem. Wreszcie kaznodzieja ciekawość słuchaczów zaspokoił. Nazwiska nie powiedział jednak — nie chciał snać reklamy robić człowiekowi młodemu, co sił dopiero próbować zaczynał na niwie literackiej. Powiedział: „Tłomacz Renana.“ Wypadek chciał, żem tłomacza owego znał osobiście; znałem go jako dobrego, zacnego, poczciwego chłopca, do szatana nie podobnego ani trochę i wiedziałem, że w kozie siedząc i czasu poddostatkiem mając, dokonał przekładu książki, którą zaznaczyłem powyżej, jako jedno ze zdarzeń, od których kipiało w świecie lat temu dwadzieścia.

Książka ta, gdy się ukazała, stała się powodem zajęcia ogólnego a wielkiego. W dziennikach i przeglądach zajmowała ona miejsca tyle, co rozprawy o wojnach, z których dwie toczyły się w Ameryce i dwie w Europie. O wojnach jednak po kościołach mówiono mało; o książce za to ogromnie dużo, o autorze jej jeszcze więcej. Kaznodzieja, o którym poprzednio mówiłem, przedstawił nam Renana jako istotę, zasługującą nie na co innego, tylko na wzgardę najwyższą: odstępca, zbieg, niewdzięcznik, fałszerz — wąż w zanadrzu odegrzany, co się dobroczyńcy swemu odwzajemnił ugryzieniem — potwór. Była to krytyka *sui generis*. Pismmoc wielka przepełnioną była krytyką tego rodzaju. Osobistość autora, mało do czasu onego znana, postawioną została pod pręgierzem, jako krytyki przedmiot najważniejszy. Nie tyle zajmowano się tem, co napisane było, ile tem, kto napisał. Podawano go za nędznika: „chłopski, rybacki syn, potrójną okryty śmiesznością: *d'échappé de séminaire, de clerc défroqué, de cuistre endurci*“ Celem zdyskredytowania książki, która zagroziła uszczerbkiem pewnej kategoryi interesów, chwycono się metody oszczerstwa — zdyskredytować usiłowano osobistość autora.

Cóż autor na to? A nic. Czytał to wszystko i nie irytował się nawet. Milczał. Bodaj czy w dziejach polemiki znajdzie się przykład drugi spokoju, z jakim Renan przyjmował napaście zajadłe na to, co człowiek ma najdroższego: na cześć osobistą. Milczał i gromadził materyały do historyi *Początków chrześciaństwa*, pracując przytem nad filologią porównawczą języków semityckich. Odpowiadał owocami pracy naukowej. Burza przeminęła — ucichło — lat dwadzieścia upłynęło i po latach dwudziestu dopiero spotwarzony na potwarze odpowiedział książką p.t. „Wspomnienia dzieciństwa i młodości“ (*Souveniers d'enfance et de jeunesse, Paris, Calman Lévy, édit*).

Tak — książka ta jest odpowiedzią — odpowiedzią pośrednią, bardzo zręczną, nie mającą zgoła pozoru odpierania czegokolwiek i zrozumiałą jeno dla tych, co sobie burzę przypominają. Zrozumiałą jest ona również i dla tych, co burzę sprawili — *tempestatem fecerunt*. Pokazuje się stąd, że koledzy dawni, dziś zajmujący poważne w hierarchii kościelnej stanowiska, publikują listy Renana pisane w chwili, kiedy się wahał, czy ma święcenia kapłańskie przyjąć. Z listów tych widać tylko, że się wahał, że seminarzysta, przez księży czytania i pisania wyuczony i przez nich wychowany, wypieszczony, odznaczany, za rękę prowadzony i na księdza, na filar kościoła specyalnie, dzięki zdolnościom, jakie okazał, kształcony, toczył z sobą srogę walkę wewnętrzną, gdy godzina wyrzeczenia ślubów nadeszła. „Wspomnienia“ są walki tej historyą, opowiedzianą od chwili przyjścia na świat, ale opowiedzianą ze strony psychicznej tylko. Autor zaznacza tylko wpływy ważniejsze, jakie na niego działały, a czyni to tak, jakby ani wiedział, ani słyszał nigdy o zarzutach i oskarżaniach, któremi czasu onego strzelano doń ogniem krzyżowym. Jedyna do takowych aluzya, jaką w książce znajdujemy, zawiera się w przytoczonych powyżej po francusku wyrazach *d'échappé de séminaire* etc. i to nie jako wymówka, wyraz żalu, lub coś podobnego, ale jako zaznaczenie faktu, że „okryty potrójną śmiesznością“ człowiek, słuchanym był łaskawie przez publiczność, dzięki temu, że w głosie jego brzmiał akcent szczerości.

Nie sposób, doprawdy, odpowiedzi tego rodzaju ułożyć zręczniej. Z przedmowy,

---

cisnęła do skostniałej piersi, a widząc, że chciwie poruszało usteczkami, chciała je nakarmić. Ale mleka miała tak mało, że dziecię uspokojone na chwilę, zapłakało znowu, aż zmordowane próżnemi usiłowaniami zasnęło niespokojnie.

Ona trzymała je w ramionach, siedząc na brzegu tapczana, milcząca, nieruchoma, zapatrzona w ten bezmiar nędzy, który pochłaniał ją zwolna. W myśli jej zmordowanej przesuwały się obrazy niewyraźne, przeszłość z obecną chwilą, a nad niemi niby zmora dręczyła ją trwoga nieubłagana, trwoga tego jutra bez nazwy, które czekało ją i dziecię.

Gdyby tak była mogła zamknąć oczy i nie otworzyć ich nigdy więcej! Porywało ją poczucie zupełnej bezsilności wobec strasznej grozy położenia.

Nagle dziecię zapłakało znowu tak żałośnie, iż ocknęła się jakby ze snu okropnego, a w piersi jej wyczerpanej zrodziło się pragnienie uratować je przynajmniej od głodowej śmierci, od powolnego konania.

Wówczas w pamięci jej stanęły wszystkie szczęśliwe matki, co z uśmiechem dumy i radości prowadzą za rączkę rumianą istotkę, która się do nich uśmiecha. Oh! gdyby ona taką matką być mogła, pracowałaby, pracowałaby dnie i noce, znosiła bez szemrania wszystko złe, nawet pogardę ludzką!

Były to jednak tylko marzenia. Po cóż nad niemi zatrzymywać się miała! Potem przyszło jej na myśl, że jeszcze nazywałaby się szczęśliwą, gdyby wiedziała, że jej dziecię nie cierpi, chowa się zdrowo, choćby sama nigdy go zobaczyć nie miała. Ha! czy to nie ma świecie dobrych ludzi, co przytulają takie nieszczęśliwe istoty! Wszakże są tacy nawet, co przybierają je za swoje, dają wychowanie, majątek... Marzenia biednej matki biegły tym torem, przypomniała sobie, iż w jednym z domów, w których chodziła do szycia, było dziecię w pieszczotach i wygodach, nieznające wcale rodziców swoich. Kobieta, co je przyjęła za własne, mówiła nieraz, że ono stanowi jej szczęście. Kobiety mają instynkt macierzyński; biedna więc przypomniała sobie, jak te, które nie miały potomstwa, otaczały troskliwością zwierzęta: koty, pieski, a przez łatwe do zrozumienia kojarzenie myśli, stanął jej przed oczami obraz kobiety, prowadzącej na błękitnej wstążce charcika, ubranego w paltocik z barankowem podszyciem, kobiety, która niosła go na własnych rękach i wołała tak pieszczotliwym głosem: „Dear, Dear.“ Nie wiedziała, co ten wyraz znaczył, ale czuła, że miał znaczenie miłosne.

A dalej jej rozgorączkowana wyobraźnia snuła obrazy i zamiary. Ona była bogatą, musiała być dobrą, skoro tak przywiązała się do pieska, zapewne nie miała dzieci, bo inaczej miłość jej nie zwracałaby się do zwierzęcia.

Przychodziły jej jakieś pokusy, nieokreślone jasno. Żałowała, że nie zwróciła więcej uwagi na tę damę, wszakże mogła iść za nią zdaleka, zobaczyć, gdzie mieszka, przekonać się, czy domysły były trafne. Potem zdawało jej się, że ta myśl, która zaświeciła jej nagle w głowie, była natchnioną, że powinna jej być posłuszną, że to znak miłosierdzia nad jej nędzą.

Wówczas dopiero myśl ta przybrała jasno określone kształty.

Była zgorączkowaną, położyła dziecię na tapczanie i nie zważając na płacz jego, zacisnęła lepiej chustkę koło siebie i pobiegła, jak można najszybciej ku Saskiemu ogrodowi.

Przyszło jej do głowy, że jeśli zastanie jeszcze damę w ogrodzie z charcikiem, będzie to dowód wyraźny, iż zamiar jej był dobry, że zyskał sobie aprobatę nieba, że takie było przeznaczenie. I biegła bez tchu prawie, by temu przeznaczeniu dopomódz.

Nie potrzebowała jednak dochodzić do ogrodu, ażeby odszukać panię z charcikiem, spotkała ją wraz z młodszą towarzyszką, łyżwiarką, na Senatorskiej ulicy.

Serce uderzyło jej gwałtownie, przycisnęła się do muru, ażeby minęły ją strojne panie a ona mogła śledzić dalszą ich drogę. Czyniąc to, spojrzała uważnie w twarz starszej, jakby chciała wyczytać jej myśli i uczucia. Twarz ta była otyła, rumiana, zadowolona. Była to zapewne przeciętna obywatelka, mająca przeciętną dozę dobroci i złości, słodyczy i gniewu, uczciwości i fałszu, której myśl nigdy nie wybiegła

w którą zaopatrzoną jest książka, domyśleć się jej trudno. Początkowe rozdziały zbijają czytelnika z tropu całkowicie, wyglądają bowiem na próbowanie się Renana w rodzaju nowelistycznym, erudycyą lekko podszytym. Zdaje się, jakoby historyk i filolog spożytkować zamierzył na rzeczy lżejsze skarb stylu, jaki mu się od natury w darze dostał. Rozdział pierwszy nosi tytuł *Le broyeur de lin* i nie czem jest innem, jeno nowelą — opowiadaniem o miłości dziewczyny, córki szlachcica-wieśniaka, dla księdza wikarego. Akcya odbywa się w okolicy miasteczka bretońskiego Tréguier, w którem Renan na świat przyszedł. Opowiadanie poprzedza rzut oka historyczny na krainę, będącą rodzajem zakątka bretońskiego, najzacofańszą w zacofaniu, pełną przesądów, pełną podań pogańskich i kaplic, poświęconych świętym miejscowym, noszącym nazwy takie, jak: Kodak, Iltud, Konery, Ronan czyli Renan, o których chrześcianie najmniejszej nie mają wiadomości. Ostatni mianowicie miał to być człowiek bardzo świętobliwy, a przytem straszny; z ludźmi się nie wdawał, zagadkowy żywot pędził, żywiołom rozkazywał; kiedy umarł, ludzie, lękając się gniewu jego po śmierci, gdyby go w miejscu, gdzie nie życzył sobie, pogrzebano, włożyli trupa na wóz, do wozu woły zaprzęgli i puścili; woły powiozły nieboszczyka w las, przed wozem drzewa się rozstępowały—aż w punkcie pewnym nie rozstąpiły się, tam przeto świętego Renana pochowano i na miejscu tem kościół postawiono. Są to święci miejscowi, gatunku gorszego. Ale są i święci rzetelni, przez kościół uznani, jak np. św. Iwo, urodzony w pobliżu Tréguier, patron adwokatów, noszący zaszczytny tytuł „obrońcy ubogich.“ Św. Iwo posiada kaplicę ze słynącym cudami posągiem, do którego się w maju pielgrzymki procesyonalne odbywają. Moc jego jest taka, że jeżeli przy modlitwie odpowiedniej zakląć: „byłeś sprawiedliwym za życia, pokaż żeś jest sprawiedliwym jeszcze,“ nieprzyjaciel na pewno w ciągu roku umrze. W wigilię odpustu, o północy, ludu tłumy wielkie napełniają kościół, klękają i głowy schylają; wówczas święty Iwo lud błogosławi, ale w takim tylko razie, gdy w tłumie nie ma niedowiarka ani jednego, któryby się na świętego patrzał. „Duchowieństwo poważne, bezinteresowne, zacne—powiada Renan, po opowiedzeniu błogosławieństwa tego—nad przechowywaniem wierzeń tych czuwało ze zręcznością, dostateczną na to, ażeby ich nie osłabiać, a oraz, ażeby się nie kompromitować zbytecznie.“

Świętym miejscowym odpowiada w Bretanii szlachta miejscowa, szlachta wieśniacza, stanowiąca osobliwość lokalną, nie spotykaną gdzieindziej, nietylko we Francyi, ale nawet w tej Bretanii części, co bardziej aniżeli zakątek ten wystawioną była na styczność ze światem. Tu zaszczepienia pierwiastków cywilizacyjnych dokonały klasztory, które przez czas długi pozostawały po za wpływem Rzymu. Podzieliły one kraj na parafie i powyznaczały w nich naczelników, przełożonych, branych z łona ludności miejscowej. Władza przełożonych tych stała się z czasem dziedziczną. W ten sposób wytworzyła się szlachta miejscowa celtycka, czysto bretońska. Następnie przybyła francuska. Dwa te stanu uprzywilejowanego rodzaje współistniały, a przywilej ich polegał głównie na tem, że się jednakowo wystrzegały imania pracy. Zachodziła wszakże pomiędzy niemi różnica ogromna. Udziałem szlachty napływowej było bogactwo, miejscowej—ubóstwo, znoszone z dumą i nieskazitelnością odpowiednią. Szlachcic wieśniaczy odznaczał się śród wieśniaków tem, że się pracować wstydził—bo i jakże do pracy zniżać by się mógł ten, co dla siebie i rodziny miał w kościele ławkę osobną i przy procesyach księdza pod rękę prowadził! Ubożała przeto szlachta owa, ubożała i w epoce rewolucyi 1789 była już biedną całkowicie, a przytem odpychaną przez arystokracyę z dumy, przez chłopów z uszanowania. Nowela początkowa przedstawia takiego z góry i z dołu odpychanego, który, wstydząc się pracować, a nie mogąc bez pracy żyć, tarł ukradkiem len i z tego siebie i córkę utrzymywał. Stąd przezwano go *le broyeur de lin*. Nowela, jako nowela, nie jest osobliwą; zaletę jej głównie stanowi podmalowanie tła; na tle tem szlachcianka, przez sfery wysokie upośledzona, przez niskie omijana, na bezczynność skazana i celu w życiu pozbawiona, w księdzu się miłością platoniczną a niepodzieloną rozmiłowuje, z miłości kochanka okrada i pomieszania zmysłów dostaje. Nowele następne też same mają zalety i też same wady. Służą one autorowi za pretekst do wykazania sfery, w której umysł jego wrażenia najpierwsze przyjmował, sfery, której on zrazu nie rozumiał, a która wyjaśniła mu się później dopiero. Tytuły nowelli: „Stryjaszek Piotr,“ „Mała Noemi,“ „Poczciwy system“ (*Le bonhomme système*). Pomiędzy nie wplecionym został ustęp p. t. „Modlitwa na Akropolis“—poetyczne, lubo prozą, ale jaką prozą, napisane westchnienie, pod adresem „piękności doskonałej,“ która mu się na Akropolis, jako cud drugi, zjawiła. O Athenea! Do chwili zjawiska tego, za cud jedyny uważał dzieje narodu żydowskiego, z powodu że z niego wyszedł Chrystus. Przytoczę krótki z modlitwy tej do Mądrości, do Sztuki greckiej ustęp: „Tyś jedna młoda, Kora; tyś jedna czysta, o dziewico; tyś jedna zdrowa, o Hygio; tyś jedna silna, o Wiktoryo. Strzeżesz grody, o Promachos; masz od Marsa wszystko co potrzeba, o Area; celem twoim pokój, o Spokojna. Prawodawczyni, źródło konstutucyj sprawiedliwych; Demokracyo...“ — jest to rodzaj litanii, wypowiedzianej dla zaznaczenia zwrotu od wiary ślepej ku rozumowi, jaki się w umyśle i sercu Renana dokonał.

Wpływy otoczenia pierwotnego pozostawiły w nim ślady niezatarte i urobiły pojęcia pewne stałe. „Przez to, com śród marynarzy (bretońskich) widział i com o chłopach litewskich a nawet polskich czytał i słyszał, urobiłem sobie wyobrażenie o wrodzonej ras naszych cnocie, gdy są one zorganizowane według typu klanu pierwotnego.“ Cnotę ową tak dalece sławi, że aż wpada w sprzeczność z samym sobą: do Athenei się modli, a gdyby mu się teka ministra oświaty dostała, pozostawiłby bretończyków na zawsze pod opieką „poważnych, bezinteresownych i zacnych“ księży, nie dla czego innego, jeno dla pielęgnowania ich cnoty, tak od mądrości greckiej dalekiej.

Sprzeczność z samym sobą przebija się w rozdziałach, w których opowiada koleje, przez jakie ukształcenie jego przechodziło. Według Renana, seminarya, w których nauki pobierał, nie podlegają najmniejszemu pod względem systemu, metody, urządzenia wewnętrznego i moralności, zarzutowi. Nauczyciele w nich, bez wyjątku, wszystko mądrzy i święci. W chwaleniu ich miary nie ma i ten brak miary chwa-

---

po za powszednie koło i trzymała się wiernie ubitych szlaków.

Odcienia te jednak przenosiły zupełnie zdolność obserwacyjną biednej dziewczyny. Widziała ona to, co widzieć chciała, nie szła po za wyraz obecnej chwili, a ponieważ wyraz ten był uśmiechnięty, wyobraziła sobie łatwo, że właścicielka charcika jest aniołem dobroci.

Obie panie rozmawiały z sobą, a Dear biegł przy nich wesoło, nie strojąc teraz żadnych kaprysów.

— Ciociu—odezwała się młodsza.

Słowa te uderzyły przyjemnie biedną szwaczkę; tłomaczyły od razu stopień pokrewieństwa i odpowiadały jej chęci zbadania stosunków domowych.

— Trzeba się spieszyć na obiad — mówiła dalej młodsza — wuj niecierpliwić się będzie.

Spojrzały obie na zegarki i weszły śpiesznie do pięknego domu. Nie można było mieć wątpliwości, że tu mieszkały, bo stróż zdjął czapkę z uszanowaniem, jakie podwórzowy władca miewa tylko zazwyczaj dla właściciela domu lub głównego lokatora.

Za strojnemi paniami i biedna kobieta w wyplowiałej chustce wsunęła się do bramy, a korzystając z tego, że stróż był na ulicy, wbiegła na marmurowo schody i zobaczyła, jak panie zadzwoniły do drzwi pierwszego piętra. Otworzono je natychmiast, weszły, a ona podkradła się pod nie i przeczytała nazwisko wyryte na blasze.

Nazwisko to było dla niej obce. Wychodząc zauważyła, że to samo wypisane było na tabliczce właściciela domu. Tym sposobem wiedziała wszystko, co potrzebowała, a przynajmniej wszystko, czego dowiedzieć się mogła.

Byłaby pragnęła zapytać kogo, czy właścicielka domu miała dzieci; pytanie to jednak było zbyt hazardowne, by je komubądź zadać mogła.

Zamyślona teraz dążyła do domu. Pomimo zimna wystąpiły jej na twarz płomienne kolory, oczy błyszczały, szła szybko, ale chwiejnie, bo głód i zimno dokuczały. Dochodząc do domu, kupiła trochę mleka dla dziecka i wiązkę drzewa, by je zagrzać.

Izba wydawała się pusta, Maciejowa rzuciła się na łóżko i zasnęła, nie zważając na płacz dziecka. Biedna matka szybko rozpaliła ogień, potem wzięła swoje maleństwo z pieczołowitością wielką i powoli wlewała mu w usta mleko, które ono łykało z mruczeniem zadowolenia.

Poiła je czas jakiś zapatrzona w jego drobne rysy, w jego oczy, które z wyrazem nieświadomej ciekawości oglądały się wkoło, a ścięte jej usta uśmiechały się tajemniczo, gdy jednocześnie z pod powiek spuszczonych płynęły łzy strumieniem.

Z pewnością zdawało jej się, że na całym świecie nic było nic tak pięknego, jak ta żółta, wywiędła dziecinna twarzyczka.

Jak długo to zamyślenie trwało, nie zdawała sobie sprawy. Wieczór zapadał, ognisko wygasło, a ona ciągle siedziała nieruchoma z dzieckiem na ręku, zgubiona w myślach, wspomnieniach, czy boleści.

Nagle dały się słyszeć kroki męskie, niepewne, drzwi otwarły się z trzaskiem a do izby wszedł Maciej, zataczając się w ten sposób, że natykał na rzadkie sprzęty domowe i ściany.

Maciej był zdolnym robotnikiem i miałby się nie źle. Cóż kiedy połowę życia był pijany, a kiedy był pijany, robił burdy, tłukł i rozbijał, co miał pod ręką i nie zważał na to nawet, czy pięść jego spadała na karki ludzkie, czy na gospodarskie sprzęty. Z tego powodu Maciejowa miała ustawiczne sińce, sprzęty domowe redukowały się do niezbędnych, a oboje małżonkowie współlokatorów znajdowali z wielką trudnością, albowiem nikt nie chciał narażać się za swoje pieniądze na guzy, szkody i kłótnie. Znosili je tylko biedacy ostatniego rodzaju.

Widząc wchodzącego gospodarza, biedna matka struchlała; odgrażał się dawno, że jak nie zapłaci tego, co była winną za komorne, zbije ją na leśne jabłko i za drzwi z bachorem wyrzuci. Wiedziała, że nie uczyniłby tego będąc trzeźwym, ale po pijanemu...

W milczeniu przytuliła się do ściany, w nadziei, że jej nie zobaczy, że rzuci się na łóżko, a zanim jutro nastanic, wytrze-

lenie podejrzywać każe o przesadność obmyślaną i intencyonalną. Czemuż mędrcom tym i świętym w ład nie poszedł? Kant to sprawił. Po niemiecku się nauczył i Kanta czytał; uczył się po za seminaryum i znajdował słabemi zarzuty, jakie mistrze jego czynili filozofii świeckiej. Zachwiała się w nim wiara w to, w co oni wierzyć kazali; zasady, przez nich za niewzruszone podawane, brał pod rozwagę krytyczną; analizował — wątpił — i kiedy wątpliwości swoje opowiadał księżom Gosselin, Garnier, Gratry, Dupanloup, ci mu radzili, ażeby „nie zważał na nie." Zagorzalsi przedstawiali mu je, jako kuszenia szatańskie, które zwalczać należy. Przeciwko radzie tej i przedstawianiu takiemu buntowało się w nim sumienie i za głosem sumienia idąc, wbrew pragnieniom matki, którą kochał, wbrew interesom własnym, które na szwank wystawiał, święceń kapłańskich nie przyjął. Cofnął się przed niemi w chwili, kiedy miał już do arcybiskupa iść. Historyi wątpień swoich poświęca rozdział p. t. „Seminaryum św. Sulpiciusza." W rozdziale tym pisze — że się tak wyrazimy — między wierszami, chwali bowiem i analizuje, chwali i krytykuje; jako wzór krytyki przyzwoitej, objektywnej a bezwzględnej zaleca się ustęp o teologii dogmatycznej i moralnej.

Ramy artykułu nie pozwalają mi rozpisywać się o książce, o której dużo jeszcze byłoby do pisania. Zaznaczę więc jeno ogólne, jakie ona sprawia, wrażenie. Wydaje się, jakby ją owiewał cień hipokryzyi; czuć, że autorem jej jest człowiek, co w temperamencie swoim księdzem być nie przestał — co do przeciwników swoich zwraca się ze słodyczą, z wdzięcznością, z wyrazami pochwał, zamiast których woleliby oni kułaki.

T. T. Jeż.

J. TURGENIEW.

III.

Oprócz *Zapisek myśliwego* i sześciu wymienionych powieści, które określają znaczenie Turgieniewa, jako pisarza, napisał on jeszcze przeszło trzydzieści drobniejszych opowiadań i dziesięć utworów dramatycznych, które warunków scenicznych nie posiadają, a pomysłem i formą nie przechodzą granic mierności.

W przeważnej części drobnych powieści na szarem tle powszedniego życia prowincyi występują osobistości drobne, pospolite, nieposiadające ani przerażających wad, ani cnót nadzwyczajnych (*Jakób Pasynkow, Dwaj przyjaciele, Zacisze, Andrzej Kołosow*). Żywot ich płynie w ciszy, której żadne świeże prądy i powiewy zakłócić nie zdołały; wystawniejszy obiad, przybycie gościa ze stolicy, wieczór tańcujący stanowią etapy, a miłość — jedyną poezyę wlokącego się leniwie istnienia. Dobieranie i łączenie się par wypełnia nieszerokie ramy obrazków, w których wolny wybór stanowi zasadniczy ton, a oświetlenie bywa bardzo rozmaitem.

Nader jest wdzięczną, choć nieco limfatyczną miłość młodych dziewcząt: Warja (*Andrzej Kołosow*), Asia (*Asia*), Gemma (*Wody wiosenne*), Natalia (*Rudin*)—te świeże kwiatki, które tak bezwiednie, wesoło nadstawiają niewinne usteczka, chylą główki, miękną jak wosk pod tchnieniem ukochanego, zdają się na jego łaskę i niełaskę, szczęśliwym jednakże jakimś trafem nie plamią swych szat niewinności. Porzucone głośno płaczą i pocieszają się wiankiem ślubnym.

Tło obrazu czasem się zaciemnia, kontury zaostrzają i zarysowują postacie kobiece surowe, dramatyczne, natury milczące, skupione w sobie, temperamenty nerwowe. Kobiety te kochają głęboko, cierpią, a zdradzone kończą samobójstwem jak np. Marya (*Zacisze*) i Zuzanna (*Nieszczęśliwa*).

Wywołane tą gorzką miłością niemiłe wrażenie niedługo panuje, bo na ciemne tło rzuca autor oświetlenie jaskrawe i obraz stoi w płomieniach i nowożytna Fryne występuje na nim plastycznie i czaruje i nęci, i wabi poezyą pięknego ciała (Irena w pow. *Dym*, Połozowa w powieści *Wody wiosenne*); rozgrzewa się krew, tętna uderzają coraz szybciej, nerwy naciągają się jak struny, miłość zmysłowa występuje w swej pijanej sile, odurza jak narkotyk, obezwładnia, ogłupia: mężczyzna zgina kolano przed bóstwem kobiecem jak niewolnik, czołga się, poniża, bo rzadko kiedy potrafi, jak Bazarow, odwrócić się w porę.

Raz jeden podejmuje Turgieniew zadanie psychologiczne złożone, przedstawia „kobietę trzydziestoletnią" (dramat *Miesiąc na wsi*); ale w pięciu aktach daje zaledwie prolog psychologii miłości, bo bohater, dwudziestoletni młodzieniec, dowiedziawszy się, że jest kochany przez powabną mężatkę, ucieka przed swem szczęściem, choć nie jest obojętny i pierwsze lody wyznania już złamał.

W tym całym szeregu duetów i duecików erotycznej treści wspaniałego hymnu miłości Insarowa i Heleny nie słyszymy powtórnie. Nie powtórzył się również sam typ kobiety wyzwolonej, w której temperament, duch i wola podały sobie ręce.

Muza, w powieści *Baburin i Punin* przez samego autora jako „typ nowy" zarekomendowana, przypomina Helenę chyba tem, że po śmierci męża zostaje w Syberyi, aby prowadzić rozpoczętą przez niego robotę.

Pierwiastek religijny wyobrażają dwa anachronizmy rodzaju żeńskiego: Natalia (*Gniazdo szlacheckie*) i Zofia (*Dziwna historya*). Uczucie religijne, podniesione do ekstazy, do ascetyzmu, zagłusza w nich głos rozumu i serca. Natalia wstępuje do klasztoru, Zofia porzuca dom ojca i oprowadza od wsi do wsi tak zwanego „człowieka bożego," „jurodiwego," pół oszusta, pół idjotę. Fanatyzm Natalii tłomaczy się wpływem wychowującej ją niańki, wstąpienie do klasztoru jest rezygnacyą. Energiczna, że się tak wyrażę, pracowita ekstaza Zofii posiada odrębny charakter, czysto miejscowy, rosyjski i czuje się jak w domu na rozpuszczonej, tłustej, czarnej ziemi gościńca. Nie zgadzamy się ze zdaniem autora, iż kobiety te należy podziwiać i szanować zarazem, bo nie zdobędziemy się na szacunek dla ograniczenia umysłowego, w jakiejkolwiekbądź ono występowałoby formie.

Ślady wiary w los widzimy w Tieglewie, postaci à la Marliński*) (*Stuk-stuk-stuk*); pozowanie, frazeologia, tęsknota z powodu pustki, trwożliwy, drobny egoizm i szlachetne dążenia złączyły się w tym typie. Zapatrywanie się w siebie natur chorobliwych, niezdolnych do czynu, spotykamy

*) Pisarz rosyjski trzeciego dziesiątka naszego stulecia.

---

zwieje. Ale Maciej miał koci wzrok; zobaczył od razu, że ktoś siedział przy kominie około tlejących węgli i usiłował się zbliżyć zygzakowym krokiem.

— Czy to ty Tekla — zapytał ochrzypłym głosem, myśląc, że to jego żona.

Nie odrzekła nic, cała drżąca.

W tej chwili jakby na złość dziecię zapłakało.

— A to ty—zawołał—z tem przeklętym bachorem...

I potok obelg posypał się z ust jego.

— Czyż nie zapowiadałem, byś mi się na oczy nie pokazywała, póki nie zapłacisz, jeżeli chcesz wynieść całe kości. Zaraz ja tu zrobię porządek.

Zamierzył się na nią. Szczęściem ręka jego równie niepewną była jak nogi, zachwiał się i uderzył o ścianę.

Wiedziała, że w takich chwilach daremnie było z nim rozumować lub prosić. Podniosła się przerażona i usunęła na bok.

Ale on na tem nie poprzestał. Szedł znowu ku niej, powtarzając jąkającym się głosem.

— Zaraz ja tu zrobię porządek.

Gonił ją po całej izbie, o ile na to pozwalała trudność utrzymania równowagi i temu tylko zawdzięczała, iż szczęśliwie dopadła drzwi. Gdyby Maciej był trzeźwy, nie miałby tak okrutnego serca i kobiety z dzieckiem nie wyrzuciłby w nocy na mróz. Ale on był pijany.

Ona dopadła drzwi, wybiegła na dziedziniec i słyszała, jak drzwi te zatrzasnęły się za nią, a pomimo tej materyalnej zapory zdawało się jej, że słyszy groźne wyrazy jego i widzi nad sobą podniesioną rękę, biegła więc dalej, aż znalazła się na ulicy. Zdawało jej się, że on tutaj jeszcze dogoni ją i skrzywdzi.

Do łajań i wymyślań ludzkich była już przyzwyczajona, nasłuchała się dość w ostatnich czasach, ale razów nie doznała jeszcze.

Na ulicy dopiero zatrzymała się niepewna.

Wieczór zapadł zupełnie, gwiazdy jedne po drugich zdawały się wybiegać z głębokości szafirów, iskrzyły się, migotały barwami tęczy, jak zwykle przy wzrastającym mrozie. Śnieg mienił się na dachach błękitnemi barwami, które kłóciły się gdzieniegdzie z żółtem światłem gazu. Zimno było przejmujące.

Kobieta szła czas jakiś, sama dobrze nie wiedząc gdzie, aż wreszcie zatrzymała się zdyszana. Mróz zaczynał przejmować ją do kości, coraz mniej mogła udzielić ciepła dziecku, które przyciskała do piersi.

Oparła się plecami o mur, bo czuła, że jej sił brakło. Po chwili dopiero zebrała myśli i obejrzała się wkoło. Była na Placu Bankowym. Na skwerze drzewa, obrzucone szronem, migotały pod światłem latarni lub też, jak srebrne mary, zasuwały się jedne za drugie. Kopuła bankowa rysowała się ciemna i poważna, panując nad ruchliwem we dnie budynkiem, który wznosił się teraz jak grób milczący z szeregiem filarów, podpierających puste podsienie, z wielkiemi oknami bez światła. Tylko na całym gmachu jaśniał transparent zegaru, niby oko okrągłe, olbrzymie, a po nim przesuwały się zwolna skazówki.

Ten kąt placu miał coś nieubłaganego, zimny i martwy nie mógł obudzić nadziei żadnej, ani dać otuchę kobiecie; zwróciła się machinalnie ku pięknym domom, stojącym rzędem naprzeciw. Tam przynajmniej sklepy gorzały gazowem światłem, a w oświeconych oknach piętrowych widać było przesuwające się postacie.

Tam widać było przynajmniej ludzi, a jakkolwiek okazali się dla niej niemiłosierni, przecież najniemiłosierniejszym w tej chwili zdawał jej się mróz, który gryzł jej ciało, przejmując ją coraz dotkliwszym bólem. I przyszło jej na myśl, że ci ludzie, co tam byli za temi jasnemi szybami, co przechadzali się po ciepłych, wysłanych kobiercami pokojach, lub siedzieli około płonącego ogniska, gdyby chcieli tylko, gdyby raczyli jej pozwolić się ogrzać w najnędzniejszym zakątku swego mieszkania, mogli uratować życie jej i dziecku.

Nagle, gdy tak wpatrywała się w jasne okna, przypomniała sobie dom, znajdujący się o parę kroków dalej na Senatorskiej ulicy, i właścicielkę chałupki, i to, co zamierzała uczynić, teraz snuło się niewyraźnie w jej zmąconej myśli.

w *Człowieku zbytecznym*, który rozrywa swe wewnętrzne *ja* na włókna i niemi się karmi. Tieglew i ów człowiek zbyteczny podani są objektywnie, jako okazy dla badacza ciekawe, ale już dla społeczeństwa—zbyteczne.

W *Widmach* autor przechodzi poza ramy drobnych obrazków. Porzuciwszy świat zmysłowy, obejmuje szerokie, nieskończone horyzonty fantazyi i buja we mgle nocy, jako duch — mgła.

Bezcielesna niewiasta spływa do śpiącego poety i unosi go w swych objęciach ponad miasta, wsie, góry, obłoki. Założenie czysto romantyczne służy Turgeniewowi do odmalowania szerokim pędzlem świetnych obrazów—to fantastycznych, to posiadających cechy realnego życia. W objęciach fantazyi stoimy nad starożytnym Rzymem, widzimy blade, surowe oblicze Cezara i słyszymy, jak grzmoty, okrzyki legionów; to znów unosimy się nad cichym Lago-Magiore, nad pstrym ruchliwym Paryżem. Następnie suniemy nad Wołgę i słyszymy śmiech burłaków i ogłuszający hałas. „Czego bo nie było w tym chaosie dźwięków... Krzyki, piski, wściekłe wymysły, śmiech, uderzenia wioseł, toporów, skrzypienie kół, tentent koni, dzwonów odgłos i brzęczenie łańcuchów, ryk pożaru, piosnki pijackie, zgrzyt urywanej mowy, płacz, prośba tęskna, rozpaczliwai rozkazujące głosy, i chrapanie przedśmiertne, i zamaszysty świst, i odgłos tańców... Zapach krwi i dymu — to czasy Stieńki Razina.“

Porzucamy rozległe, zasłane trupami stepy, uciekamy przed krwawemi widmami zamierzchłej przeszłości, płyniemy, owiani mgłą szarą, na północ i zatrzymujemy się nad ponurym Petersburgiem w noc białą. „Smutno śpi i dziwacznie się rysuje na matowo przejrzystem powietrzu stolica Północy, ukazują się zgniłe lasy i mchem porosłe błota, otaczające Petersburg; zostawiamy po za sobą chorą noc, chory dzień i miasto chore (VIII, 36).“

Białe widmo, fantazya, unosi nas coraz dalej, wyżej i robi nam się jakoś nudno, obojętnie. „Ciężka, ciemna, żółtawo czarna, jak brzuch jaszczurki, masa, nie chmura i nie dym, zwolna ruchami żmii sunęła ponad ziemią. Widzimy miarowo wahadłowe ruchy, podobne do ruchu skrzydeł drapieżnego ptaka, szukającego zdobyczy, od czasu do czasu schylanie się ku ziemi, schylanie się pająka ku musze złapanej. Od dotknięcia tej masy wszystko nikło, traciło głos, zgniły, rozkładający chłód wiał od niej, od tego chłodu w oczach ciemno się robiło, włosy dębem stawały. Była to śmierć.“

Oprócz fantastyczności występuje u Turgieniewa, jako reminiscencye ubiegłej romantycznej doby, pewien fatalizm i mistycyzm w powieści *Pies* i *Opowiadanie ojca Aleksego*.

Utwory, posiadające cechy romantyzmu, stanowią tak drobną cząstkę wszystkich pism Turgieniewa, iż nie mogą wpłynąć przecząco na przyznanie mu nazwy realisty. Sam on utrzymuje, iż „ściśle przedstawić realną prawdę życia jest największem szczęściem dla autora, choćby ta prawda nie licowała z jego własnemi sympatyami.“ Z drugiej strony też same fantastyczno-mistyczne utwory rodzą ciekawe dla psychologa pytanie: na zasadzie jakich pobudek realista, z natury swej unikający złudzeń, może się czasem ich władzy poddawać?

Zasadę swobody, którą Turgieniew, jako powieściopisarz społeczny, wyznaje teoretycznie, jako krytyk, w poglądzie na sztukę i praktycznie, jako poeta opisowy, w rysowaniu obrazów natury stosuje.

W naturze wszędzie jest piękno, ale nie każde piękno da się pochwycić. Ażeby ująć objawy zewnętrzego świata, należy samemu być wolnym. „Swobodę daje nauka, bez której artysty prawdziwego niema.“ mówi Turgieniew.

Z pomiędzy dwóch przedstawicieli artystycznego świata Szubin jest trzeźwo na rzeczy patrzącym, pełnym zapału młodości, pełnym zdrowia i siły realistą; nieuk Benewoleński (*Jarmark*) roztkliwiającym się romantykiem, który przed arcydziełami płacze, zamiast się na nich kształcić.

Na naturę należy patrzeć prosto — mówi Turgieniew — ze współczuciem, nie przypisywać jej ubocznych celów, należy ją widzieć i zrozumieć; wielki poëta nie podpatruje, nie podsłuchuje tajemnic natury, wielkiemi i prostemi słowy oddaje jej prostotę i wielkość (*Notatki myśliwego.*) Jako myśliwy miał Turgieniew możność widzenia natury w całej pełni jej piękności i grozy; posiadając talent ujęcia prawdy, daje niezliczone opisy przyrody, które posiadają styl bardziej malowniczy niż muzykalny i za wzory poezyi opisowej służyć mogą. Turgieniew naturę i ludzi widzi i pojmuje bez uprzedzeń podmiotowych, przedstawia świat zewnętrzny objektywnie w rzeczywistem, pełnem świetle dnia — jest realistą. Pełną dłonią czerpie ze świata zewnętrznego, posiadającjednakże w wysokim stopniu rozwinięte poczucie piękna, omija starannie typy i obrazy wstrętne, woli nawet powszedniość od jaskrawej brzydoty — jest zatem realistą względnym. Stąd spotykamy w jego powieściach przeważnie postacie prawdziwe, ale do pospolitości zwyczajne, które silnego wrażenia nie wywolują i w pamięci zacierają się prędko.

Wrażenia zewnętrznego świata zapładniają myśl autora, płód rośnie, dojrzewa, lecz, jeżeli jako odcięty, narodzony twór ma żyć życiem własnem, samodzielnem, musi być odżywiany podczas swego rozwoju krwią samego autora, na którą się jego cała istota i tem samem świat zewnętrzny składa. Czem więcej posilnych pierwiastków w tym ożywczym krwi strumieniu do tworu spływa, tem jego życie samodzielniejsze i dłuższe być może. Typy Turgieniewa powstają, rodzą się wśród warunków miejscowych, rodzą się żywe, ale obdarowane przez swego twórcę głównie tymi organami, które do funkcyj życiowych danego otoczenia i danego czasu są potrzebne, prędko, bo w naszych oczach się starzeją i przeniesione na grunt obcy—nikną. Nic dziwnego, tworzenie typów, które przechodzą w posiadanie ogólne, to rzecz geniuszów, a Turgieniew jest tylko talentem wybitnym.

Zastanawiał się on nad objawami społecznego życia rosyjskiego, odczuwał jego potrzeby i dążenia, posiadał talent ujęcia chwili, kochał swój naród rozumnie, pielęgnował i zalecał pielęgnować najdroższy skarb: język ojczysty, wierzył w postęp, cywilizacyę, t. j. naukę — należy mu się zatem szczególna uwaga wszystkich tych, którzy, zgodnie z jego zasadą, w imię niczem nieskrępowanej swobody dla własnych przekonań i własnego narodu działają lub działać pragną.

Teodora Krajewska.

Wypadki same popychały ją do tego, przed czem wzdrygało się serce. Czuła, że jeśli nie poweźmie szybkiego postanowienia, dziecię skostnieje w jej rękach.

Rozpacz nie namyśla się długo. Za chwilę biegła znowu około kamienic nierównym krokiem, chwiejąc się i słaniając, aż stanęła przed domem, zapamiętanym dobrze.

Brama była otwarta, wyjeżdżała z niej właśnie jakaś kareta. Ona skorzystała z tego, by przemknąć się niepostrzeżona. Przechodząc jednak, rzuciła wzrok do jej wnętrza i przekonała się, iż osobą wyjeżdżającą nie była właścicielka charcika.

Nie śmiała wyjść na główne schody, palił się na nich gaz i ktokolwiek zobaczyłby kobietę, wyglądającą tak, jak ona, mógłby powziąść podejrzenie, zatrzymać ją, zawrócić.

Czuła, iż nie były to miejsca właściwe dla ludzi do niej podobnych. Pamiętała, jak sama niegdyś oburzała się na żebraków i obdartusów, którzy tłoczyli się do głównych wschodów, jak gniewali się stróże lub lokaje, spotykając ich włóczących się po marmurach i kobiercach. Przezornie więc poszła w głąb dziedzińca szukać drugiego wejścia, a korzystając z ciemności, spytała przechodzącej kobiety, którędy się idzie do kuchni właścicielki domu, której nazwisko zapamiętała dobrze, a ponieważ nędza i potrzeba nauczyły ją przebiegłości, dodała, że tam służy jej krewna. Noc pokrywała jej zmieszanie, a kobieta dała jej żądaną informacyę bez dalszych zapytań.

Teraz już wiedziała, na którą stronę dziedzińca pójść należy, i szła trwożna, usiłując krok swój upewnić. Wchodziła właśnie w ciemną sionkę, skąd wschody wąskie i kręte prowadziły na górę, kiedy usłyszała czyjeś kroki. Cofnęła się znowu spłoszona i przytuliła do ściany, a przeczekawszy dopiero chwilę i widząc przy bladem świetle lampki naftowej, że schody były puste, poszła na górę.

Szczęściem dziecię nakarmione, rozmarzone zimnem powietrzem, nie odzywało się wcale, czuła tylko ciepłe jego ciałko i lekkie ruchy drobnych członków.

Serce jej biło tak, iż słyszała jego uderzenia, odpowiadały mu tętna krwi w skroni, które zdawały się rozsadzać jej czaszkę. Policzki jej gorzały, przed oczami biegały ogniste plamy, jednak członki były skostniałe i trzęsły się jak w febrze.

Czuła, że ma popełnić coś okropnego, coś, co przejmowało ją rozpaczą i zgrozą, a jednak nie miała wyboru.

Szła po wąskich wschodach, jak skazany na śmierć wstępuje na rusztowanie, zatrzymywała się na każdym, bezsilna, zlana zimnym potem i znowu myśl nagła zmuszała ją iść dalej.

Wreszcie stanęła na pierwszem piętrze przed wskazanemi drzwiami. Tutaj zaczęła nasłuchiwać.

W kuchni panował gwar i hałas, jak zwykle w domach, gdzie jest liczna służba, i gdzie ta służba ma dużo wolnego czasu. Przyszło jej na myśl, czy wśród tego gwaru posłyszanem będzie kwilenie dziecka? Jednak gwar ten ulatwiał jej to, co uczynić chciała; inaczej ktoś mógłby usłyszeć kroki i szmer pod drzwiami, wyjść i schwytać ją na gorącym uczynku. A wówczas... Nie zastanawiała się nad tem, coby wówczas wypadło. Czuła tylko, że na tę myśl samą gotową była rzucić się na bruk i głowę sobie roztrzaskać. Przeszłość jej cała uczciwa i szanowana odzywała się w tem uczuciu niewypowiedzianego wstydu, który ją ogarniał.

Przez chwilkę, długą dla niej jak wieczność, stała w miejscu, targana najsprzeczniejszemi uczuciami. Wola, pobudzona koniecznością, kazała jej działać śpiesznie, a na myśl pozbycia się biednej istotki, która była dla niej hańbą, której nie mogła wyżywić i okryć, serce zamierało jej w piersi. Pragnęła jeszcze zobaczyć dziecko raz jeden, ucałować, a potem...

Ostrożnie zaczęła wydobywać je z pod chustki. W tej chwili ktoś w kuchni zbliżył się do drzwi. Ona szybko, jak strzała, wskoczyła na wschody, wiodące na górę i nie oparła się aż na drugiem piętrze.

Wówczas uczuła jakąś dziką radość, niby umierający, któremu na czas jakiś powróciło życie. Wydobyła dziecię, zbliżyła się do naftowej lampki płonącej smutnie i przy tem bladem światełku pożerała oczami niekształtne jego rysy.

SZCZĘŚCIE WOBEC PESYMIZMU.

III.

Czy oświata ludu jest czynnikiem, mnożącym jego szczęście? W prawdzie wartość jej cenią wysoko najdzielniejsze umysły, jednakże Paulhan staje w rzędzie oponentów, według których umiarkowany stopień ciemnoty kołysze człowieka w ponętnym błogostanie. Po za granicą pewnej liczby wiadomości praktycznych, wartość wykształcenia dla niższych klas społecznych przedstawia się francuskiemu pisarzowi bardzo wątpliwą. Może dlatego trzeba lud kształcić, aby brał udział w polityce? Od czegoż są ludzie fachowi, którzy długo się kształcą, zanim potrafią prowadzić to zawiłe rzemiosło. Na nic się także nie przyda oświata robotnikom, którzy są zbyt strudzeni pracą fizyczną, aby ich obciążać umysłowym mozołem. Chociażby nawet udało się w tej sferze zaszczepić wiedzę, to ona tylko rozwinie nowe potrzeby, trudne do zaspokojenia. Niewątpliwie, opinia taka jest na rękę socyologom lub mężom stanu, którzy pragną, aby masy ludowe, piastowane w moralnem niemowlęctwie, były zawsze tylko balastem dziejowego statku, kierowanego dłonią fachowych sterników. Sądzimy jednak, że nie dla tego lud oświecać należy, aby w każdej chacie tworzyć kandydatów na urzędy ministeryalne, ale aby każdą jednostkę w zakresie właściwej sfery działania uzdolnić do obywatelskiej pracy, która pomnaża szczęście osobników i społeczeństw. Ciemnota zresztą, łącznie z ekonomicznem upośledzeniem, wytwarza zdziczenie, z którego krzewią się dzikie instynkta grożące zdobyczom cywilizacyi. Zdaje nam się, że reformy społeczne, dążące do zniesienia nędzy i nieszczęść klas roboczych, mogą przynieść wiele dobrego ludzkości, jeżeli nie ograniczając się na stronie ekonomicznej, podniosą oświatę umysłową i estetyczną, która uszlachetniając obyczaje, otworzy zarazem ludziom zgiętym pod brzemieniem pracy nowe źródło czystszych i szlachetniejszych rozkoszy. Ma jednak słuszność Paulhan, twierdząc, że do utrwalenia pożądanej oświaty w tych sferach należałoby stworzyć nową metodę kształceń i stosować ją umiejętnie, gdyż doświadczenie uczy, że zdrowy rozsądek, trzeźwość umysłu i siła intelektualna niekoniecznie zależą od sumy nabytych wiadomości.

Daleko słuszniejszą jest opinia francuskiego pisarza, że rozwój moralny ludzkości przedstawia ciemne strony ze stanowiska teoryi szczęścia. Dzisiejszy racyonalizm wstrząsnął do gruntu podstawami dawniejszej etyki, opierającej się na wierze w Boga, pojęciu obowiązku i wolnej woli. Jeżeli runą te podwaliny, czy życie ludzkie może być takiem, jakiem było? Guyau w swem dziele *Etyka współczesna w Anglii* wykazuje, że poczucie obowiązku może tracić na swej sile, jeżeli będzie uznanem za czysto podmiotowe. Podług teoryi rozwoju, poczuwamy się do powinności dlatego, że w to wierzymy. Gdy owa wiara upadnie, czy nie należy się lękać, aby nie upadło samo poczucie obowiązku, aby cała moralność nie była zniweczoną i aby społeczeństwo nie rozstroiło się? Moralność jednak nie opiera się na samem tylko pojęciu powinności, które prawdopodobnie zachowa swą siłę, chociaż straci urok bezwzględności, ale ma za podstawę także interes oświaty, nareszcie uczucia altruistyczne, jak miłość dobra, sprawiedliwości, porządku, które wpoiła w duszę ludzką wyższa cywilizacya. Bądź co bądź, zastąpienie dawnej moralności przez nową jest trudnem. Rozwój moralny człowieka odbywał się dotąd przeważnie na fałszywej drodze. Zamiast opierać go na prawach natury i życia społecznego, systematy teologiczne starały się prawa etyczne otoczyć gloryą sankcyi nadprzyrodzonej. Gdy zaś ten urok nadziemski rozwiewa się z podmuchem krytycyzmu, gdy zapada się cały tęczowy gmach wierzeń, niejedna dusza przechodzić musi cierpienia, jak strudzony wędrowiec, co na pustyni życia widzi zniknięcie obrazów, łudzących go najpiękniejszemi nadziejami. Teorya rozwoju burzy prawie zupełnie całą dotychczasową etykę, a wiadomo, że w pewnych umysłach albo charakterach, taka zmiana zasadnicza wpajanych od dzieciństwa wierzeń może wywołać walkę wewnętrzną. Zamiast wszystkich dawnych podstaw moralności, zamiast nadziei pozagrobowej nagrody, bojaźni kary, teorye deterministyczne wpajają w człowieka tylko to przekonanie, że nie ma zasługi bez winy, że człowiek jest rodzajem maszyny, czyniącej źle lub dobrze stosownie do swego ustroju.

Obserwacya jednak uczy nas, że potrzeby praktyczne życia nie pozwalają rozumować nad wszystkiemi czynnościami, że działając dobrze, człowiek zwykle nie myśli o życiu przyszłem, o bezwzględnem metafizycznem pojęciu obowiązku. Wyzwolony z tych wierzeń, działać będzie równie dobrze, jak i przedtem, ponieważ grały one niezbyt wielką rolę w praktycznych sprawach jego życia. Zdarza się to wtedy, gdy wychowanie odbyło się na podstawie pojęć moralnych bardziej aniżeli religijnych.

Gdy jednak w ukształceniu charakteru wielką rolę grały wierzenia a nawet przesądy, wtenczas działanie refleksyi może być czynnikiem rozkładowym i zniweczyć równowagę. Widzimy, jak łatwo nieraz rozprzęga się cały splot uczuć i przekonań w jednostkach kształconych wadliwie, jak jeden podmuch sceptycyzmu niszczy owoc klasztornej hodowli, jak więzione w sztucznym rygorze namiętności szybko zrywają swe pęta. Rozstrój taki dokonywa się często bez działania refleksyi, której Paulhan przypisuje zgubną siłę rozluźniania źle spojonych organizacyj moralnych. Doświadczenie uczy, że nawet bez udziału aktów wyższej filozoficznej świadomości, pod wpływem dzisiejszej atmosfery umysłowej i obyczajowej szybko rozkłada się często harmonia moralna charakterów, karmionych zwietrzałą rutyną religijną, że często nawet rozwinięcie uczuć religijnych kojarzy się z bardzo niskim stopniem rozwoju poczucia moralnego.

Refleksya, burząca gmach wierzeń, może być wreszcie przyczyną cierpień w organizacyach wyższego rzędu, ale podług nas istnieją w rozwoju moralności inne jeszcze czynniki wrogie dla szczęścia człowieka, na które Paulhan nie zwrócił uwagi. Polegają one na niezgodności wielu praw moralnych i obyczajowych z naturą ludzką, na pogwałceniu wrodzonych potrzeb duchowych lub fizycznych człowieka dla teologicznych fikcyj lub społecznych przesądów. Na każdym kroku widzimy, ile naprzykład cierpią jednostki z powodu wadliwych ustaw i reguł, nieodpowiadających postępowi obyczajów i wzrostowi pragnień osobistej swobody. Dość uprzytomnić sobie tyle zboczeń życia rodzinnego, aby się przekonać, że dzisiejsze prawo o mał-

---

Nagle dziecię poruszyło usteczka, szukając niemi pokarmu. Zrozumiała, że czekając, popełniała szaleństwo, że skoro nie mogła wyżywić go sama, powinna była przynajmniej oddać je łasce tych, którzy uczynić to byli w stanie.

Zbiegła więc z drugiego piętra. Raz jeszcze drżącemi rękami ścisnęła wątłą istotkę, jakby chciała zachować nadługo wrażenie tego dotknięcia i położyła ją przy drzwiach, trochę z boku, tak, by nie nadeptano ją, wychodząc nieostrożnie, a jednak dojrzano łatwo.

Uczyniwszy to, już miała odejść. Nagle przyszło jej na myśl, że dziecku zimno być może; zdjęła szal ze skostniałych ramion i owinęła je nim starannie.

Trzeba przyznać, że w tej chwili nie czuła zimna, choć trzęsła się całem ciałem, gdy ze spuszczoną głową, chyłkiem schodziła krętymi wschodami, jakby pozbywszy się dziecka, straciła razem podtrzymującą ją siłę.

Wyszła z bramy. Stróż zmierzył ją podejrzliwem okiem, ale ponieważ nic nie niosła, przepuścił bez słowa żadnego. Na ulicy przystanęła o kroków kilka. Można było sądzić, że pyta samej siebie, gdzie teraz ma iść i po co? Ale ona nie pytała o nic.

O kilka kroków od bramy były wschodki, prowadzące do sklepu zamkniętego w tej chwili; opuściła się na nie. Padło na nią przygnębienie zupełne i obojętność tych, co stracili myśl lub uczucie jedyne, wiążące ich do życia.

Tylko w sercu jej krwawiła się rana wielka i kiedy miała oddalić się z tego domu, czuła, że to nad jej siły, a raczej nie myślała, nic rozumowała wcale, była jak istota niezdolna do żadnego działania, nawet instynkty samozachowawcze wygasły w niej odrazu i rzuciły teraz na pastwę wypadków.

Dopóki miała dziecię na ręku, kierowały nią jeszcze uczucia dawne; od chwili, gdy złożyła je na cudzym progu, zerwały się naraz wszystkie nici, które siłą dawnych przekonań wiązały ją z przeszłością. Stała się nagle jak rzecz martwa. A z tej martwoty zbudzić ją mógł tylko głos jeden—głos dziecka.

Jego to nasłuchiwała, z okiem mglisto utkwionem przed siebie, jakby śród turkotu i gwaru miasta dosłyszeć go mogła.

Nagle ruch jakiś niezwykły zrobił się w kamienicy. Stróż wybiegł, obejrzał się wkoło szukając stójkowego. Za nim wyszło kilkoro służby, rozprawiając głośno. Nikt jednak nie zatrzymał wzroku na kobiecie, siedzącej na wschodkach, bo oczywiście, gdyby popełniła przestępstwo lub ukryć chciała czyn jakiś, nie siedziałaby tak spokojnie obok miejsca wypadku.

Ona nawet nie ruszyła się, widząc ten ruch, popadła w senność dziwną, śród której mieszały się myśli, uczucia, obrazy, a świat otaczający stawał się coraz mniej wyraźny, jakby oddzielała go od niej przestrzeń, zwiększająca się z chwilą każdą.

Na drugi dzień w rubryce wypadków miejskich umieszczone były następujące wiadomości:

„Wczoraj na schodkach wiodących do sklepu pana X. przy ulicy Senatorskiej spostrzeżono zmarznięte zwłoki kobiety niewiadomego nazwiska, ubraną była w czarną, wełnianą suknię i jasną chustkę na głowie."

A dalej:

„W domu pod nr. X pod drzwiami właścicielki, znaleziono podrzucone dziecię płci żeńskiej, liczące kilka tygodni wieku; odesłano je do szpitala podrzutków. Wyrodna matka zdołała zbiedz, poszukiwania prowadzą się energicznie."

Pomimo energicznych poszukiwań jednak, matki tej nie odnaleziono, skryła się przed niemi w krainę wieczności.

Była ona nietylko występną, ale nierozsądną i szaloną; omyliły ją też ostatnie plany i nadzieje. Charcik wystarczał zupełnie potrzebom serca swojej właścicielki, nie przytulił do niego nieszczęsnej dzieciny.

A pan Gustaw? Pan Gustaw przecież nie mógł być odpowiedzialnym za winę i śmierć jakiejś szwaczki. Zdał on świetnie egzamina i bronił publicznie rozprawy: *O etycznem znaczeniu prawa*, która to rozprawa zyskała powszechne uznanie.

żeństwie coraz bardziej nie odpowiada potrzebom czasu. Przeciwieństwo to jest źródłem wielu cierpień i klęsk, łamiących szczęście jednostek.

Dalej pisarz francuski podnosi praktyczne znaczenie instynktów, które pchają człowieka do działania, paraliżującego wszystkie zboczenia refleksyi. Na nieszczęście instynkty te u człowieka nie są dość wyraźnie ukształtowane z powodu zawiłości jego ustroju i trudności przystosowania do warunków życia. Wśród ścierania się rozmaitych popędów, refleksya może osłabić energię człowieka, jeżeli zwłaszcza nad miarę się rozwinie, jeżeli na każdym kroku mnoży wątpliwości i zawady. A jednak często oddaje ona ważne przysługi w kierowaniu woli — jak to sam Paulhan przyznaje — tak, że tylko jej jednostronne spotęgowanie może być uważanem za źródło cierpień lub nieszczęść.

Streszczając swe poglądy autor francuski twierdzi, że obecna droga postępu nie prowadzi do tej równowagi rytmicznej, która pozwala człowiekowi zadawalać swe dążności w miarę, jak one powstają i to zadawalać za pomocą środków stosownych, zawsze mniej więcej podobnych do siebie i leżących w zakresie możliwości.

Zaznaczyłem uprzednio, że podług słusznej definicyi Paulhana, szczęście polega na *stosunku* zależności biologicznej osobnika od otoczenia: otóż wykładnik tego stosunku jest tak miotany niesłychaną wielością pragnień każdego osobnika, samopojęcie jest tak chwiejne, tak falujące nawet w jednym i tym samym charakterze, że nie może być mowy o ustaleniu naukowego kryteryum dla oceny wartości życia ludzkiego ze stanowiska jakiejś niemożliwej teoryi szczęścia. Pojęcie szczęścia jest wyrazem stanu psychicznego człowieka i nie odpowiada żadnej ściśle określonej grupie zjawisk, mogącej stanowić przedmiot do naukowego badania. Bezwątpienia dzisiejszy ustrój moralno-społecznego życia, zadający kłam wielu najżywotniejszym pragnieniom ludzkości, wytwarza atmosferę, w której pesymistyczne ocenianie życia ma zaraźliwą siłę. Chociaż metafizyczny pesymizm wznawia stare tradycye buddyjskiego rozpłynięcia się w nicości, filozofia treściwa, rachująca się z faktami, widzi, że właśnie rozwój wiedzy jest czynnikiem, mogącym tylko pomnożyć zadowolenie człowieka. Z jednej strony racyonalizm filozoficzny przeistacza i łamie przesądy, które kazały poświęcać zbyt często prawa i przywileje jednostki na ofiarę fikcyi, z drugiej strony w dziejowem życiu widzimy ciągłe potężnienie pojęć i kierunków dążących do pomnożenia szczęścia całej ludzkości a nietylko jej uprzywilejowanych odłamów. Psychologia zaś i pedagogika dzisiejsza dostarczają coraz więcej wskazówek, jak należy kształcić charakter człowieka, aby w postępowym rozwoju umiał kroczyć śmiało, godząc się z możliwością, aby nie szarpał się w gorączkowych pogoniach za nieporchwytnemi marami, ani zabijał energii bezpłodną filozofią rozpaczy.

J. Kotarbiński.

PIŚMIENNICTWO POLSKIE.

Karol Kalinowski **Pamiętnik mojej żołnierki na Kaukazie i niewoli u Szamila.** Warszawa.

Główną wadą *Pamiętników* jest to, że zostały wydrukowane teraz. Opis Kaukazu z przed laty 40 wtedy tylko może mieć szerszy dla publiczności interes, jeżeli mu przewodniczyła myśl ścisła naukowego badacza.

W rozpatrywanej tu książce myśli takiej niema. Chaotyczność i bezład opowiadania nie pozwala korzystać z niej, jak ze źródła historycznego, dla geografa zaś niema również żadnego znaczenia. Opisywane tam miasteczka stały się dziś miastami, wiele siedzib ludzkich znikło bezpowrotnie z powierzchni kraju, a stosunki etnograficzne i podział administracyjny prowincyi znacznej od owych czasów uległy zmianie. Większą natomiast ciekawość obudzić mogą w czytelniku niektóre rysy obyczajów, wierzeń miejscowych i szczegóły, dotyczące sympatycznej dla nas postaci Szamila.

Pozostałą treść książki składają własne wspomnienia autora, któremu 15-letni pobyt wśród górali dostarczył niemało powieściowego materyału. Osobistość autora, o ile występuje ona w *Pamiętnikach*, zbyt wielkiej nie obudza sympatyi. Nie widzimy w nim człowieka silnych przekonań i uczuć. Tak np. przyjmując w niewoli wiarę Mahometa, zapewnia on czytelnika, że uczynił to tylko dla poprawienia swego losu, jak gdyby taka pobudka nie była najniższą sprężyną wszelkiego odstępstwa. Z równie słodką naiwnością oświadcza nam p. K., że, pragnąc ożenić się z córką pewnego górala, miał na myśli przeważnie korzyści materyalne. „Jej ojciec nauczyłby mię sporządzać broń, a brat zrobiłby mię zegarmistrzem — mógłbym stać się, jeżeli nie bogatym — to zamożnym.“ Przypuszczenia te powtarza autor z taką natarczywością, iż bierze nieraz ochota zawołać: „ależ żeń się pan, nic nie mamy przeciwko temu!“

Szata zewnętrzna *Pamiętników*, jakkolwiek uprzedził nas autor o smutnych jej barwach — wiele, bardzo wiele pozostawia do życzenia. Przedewszystkiem, jak już nadmieniłem, w opowiadaniu swojem jest pan K. tak bezładny, jak pasma gór, wśród których żyć był zmuszonym. Dość długą np. powieść o swojej pseudo-Beatryczy powtórzył w książce dwa razy prawie dosłownie. Niektóre mniejsze epizody obrabia kilkakrotnie z uporem maniaka. Nie mówiąc nic o *branszach*, *doradach* (radach) *słojach* brudu (warstwach) i innych polskich, ale na sposób kaukazki przerobionych wyrazach, składnia p. K. pobudzić może do samobójstwa. Czy to „dnie autorowi prędko mijają *słuchając opowiadań*,“ czy mówi on o „chlebowem ziarnie“ (zbożu) czy „ulega nieco na zdrowiu,“ czy buduje auły „na rzece“ zamiast nad rzeką, czy opiewa „bulwary dla publicznych przechadzek,“ zawsze jest tak barbarzyńskim, jak opisywani w *Pamiętnikach* „czeczency,“ którzy „przez Szamila *uważają się* za naród podejrzany.“

Korekta książki pod względem niedbalstwa może iść o lepsze z najlichszą gazetką brukową.

M. B.

S. Smolikowski **Filozofia wyzwolenia.** Przyczynek do dziejów pesymizmu. Warszawa.

Książka ta obejmuje szereg studyów, zamieszczonych w *Bibl. Warszawskiej*, a mających za przedmiot głównie rozbiór filozoficznego systematu Mainländera, od którego też autor zapożyczył nazwę dla swej pracy (*Philosophie der Erlösung*). Mainländer jest w prostej linii następcą Schopenhauera i Hartmanna. Przyjąwszy z małemi poprawkami teoretyczne zasady ich „filozofii nicości,“ konsekwentnie doprowadza je do możliwych krańców i stosuje bezpośrednio do życia praktycznego. Nie ograniczając się na sferze oderwanej myśli, stwarza całokształt pesymistycznego poglądu na świat, w duchu jego ocenia wszystkie odłamy życia i myśli. Stąd też w dziele Mainländera znajdujemy: analizę poznania, fizykę, etykę i metafizykę. Przedstawiwszy w pierwszej części systemat tego najwyższego i najzupełniejszego wyraziciela niemieckiego pesymizmu, w drugiej poglądy jego bardziej pobieżnie zestawiwszy z zasadami mistrzów, Schopenhauera i Hartmanna, przechodzi autor w trzeciej do krytyki „filozofii wyzwolenia“ azatem w głównych punktach i całej filozofii pesymistycznej. Krytykę zaś swą, jak to wyraźnie zaznacza, ściąga p. S. nie do wyników i etycznych postulatów szkoły, lecz przedewszystkiem do jej podstaw metafizycznych: skoro te bowiem okażą się błędnemi, skoro głoszona przez szkołę *prawda istnienia* okaże się nieprawdą, wtedy i wszelkie jej wnioski same przez się upadają.

Jak widzimy, p. S. uważa wogóle za możliwe dla nas wykrycie owej prawdy istnienia, gdy bowiem, jak sądzi, udowadnia pozytywnie bezzasadność ich mniemań, tem samem twierdzi, iż sam w części przynajmniej prawdę bezwzględną przenika.

Co do celu krytyki, słusznem jest, iż autor zwraca się raczej do *podstaw* systematu, niż do jego następstw; idzie tylko o to, co stanowi tutaj właściwą podstawę. Jeśli pod wyrazem tym rozumieć będziemy pierwsze ogniwo myśli (postrzeżenie), punkt wyjścia dla umysłu, to podstawą filozofii pesymistycznej nie jest pojęcie jakiegoś absolutu — woli, nieświadomości, z których jakoby uzasadniać się miała dopiero nędza naszego żywota i wywodzić praktyczny postulat — zniszczenie; podstawę tę stanowi pewien zbiór faktów w otoczeniu, w życiu społecznem, a głębiej jeszcze sięgając, jest to usposobienie szczególne umysłu, fakta owe postrzegającego. Istotnem źródłem filozofi pesymistycznej jest pierwiastek uczuciowy, on to stanowi modlę, wedle której urabia się odpowiedni pogląd na świat i *wynajdują się* argumenta metafizyczne. Nie nowy to pogląd, uważający systematy w rodzaju Hartmanna i in. tylko za poematy filozoficzne: okazują one cechę, stanowiącą istotę poezyi, mianowicie przystosowywanie rzeczywistości do powziętej idei lub uczucia, gdy tymczasem w nauce zachodzi stosunek odwrotny: poznanie prawdy polega na coraz doskonalszem przystosowywaniu się umysłu do zjawisk zewnętrznych. Jak dalece zaś filozofowie tej szkoły poetyzują rzeczywistość, przekonywa ich tłomaczenie natury, wedle którego np. płyny, przybierając poziomy kierunek, dążą do nicości. Przyznaje to i sam autor, mówiąc, iż „błędy podobne nie mogły wyniknąć z badań przyrody, ale widocznie wywołane zostały dążeniem do wynalezienia punktu oparcia dla filozoficznej hypotezy nirwany.“ Podstawą więc jest tu owo *dążenie* i jego pobudka, a nie to lub owo twierdzenie przyrodnicze lub metafizyczne. Chociaż p. S. lub ktoś inny twierdzenia te obali, niemniej, dopóki istnieć będzie owo dążenie, dopóty nie przestanie ono wynajdywać sobie nowych punktów oparcia, tylko bardziej może zgodnych z nauką i logiką. Wszelka krytyka filozoficzna polegać musi na rozbiorze poznania: przekonanie niepojętości rzeczy samej w sobie osiągniętem zostało nie drogą metafizycznego dowodzenia, lecz przez analizę wrażeń; to też cios stanowczy dla pesymizmu, *jako filozofii*, wyjść może tylko z analizy usposobienia, będącego jego psychologicznem źródłem, całej subjektywnej oceny zjawisk, na dnie której, być może, kryje się złudzenie.

Krytykę swą w zastosowaniu opiera autor naprzód na gruncie naukowym i okazuje całą ułudność nirwany wobec prawa niespożytności materyi i siły.

W ostatnim zaś, najobszerniejszym rozdziale rozbiera wywody pesymistów ze stanowiska metafizyki; a więc raz jeszcze odpiera możliwość unicestwienia w myśl postulatów o wieczności Boga i zgodności („spójni metafizycznej“) myśli i świata zjawisk, poczem odsłania szereg sprzeczności tkwiących w łonie samego pesymizmu, który pretendując na godność filozofii, grzeszy dogmatyzmem, wyszedłszy z mo-

nizmu, wpada w dualizm (walka *idei* i *woli* i t. p.), przyjąwszy zło, jako istotę świata, żywi zarazem optymistyczną a nieuzasadnioną nadzieję osiągnięcia błogiego niebytu. Wreszcie przeprowadza p. S. interesującą paralelę między szkołą pesymistów a J. S. Millem, który w pośmiertnej swej pracy *O religii*, choć inną drogą, dochodzi do tegoż pojęcia, co i pierwsi o współpracownictwie człowieka z Bogiem. Współpracownictwo to wedle pesymistów polega na dopomożeniu Bogu w dziele unicestwienia się; według Milla, który w Bogu widzi istotę wszechdobrą, ale nie wszechpotężną, człowiek współdziała z nim dla udoskonalenia świata i urzeczywistnienia ideału.

Wziąwszy za nawias metafizykę autora — jest to bowiem rzeczą szkoły, do której on należy (zmodyfikowana heglowska) i na tem miejscu sporowi podlegać nie może — oraz pominąwszy parę psychologicznych dziwolągów, jak rozróżnianie chorób *organów ducha ludzkiego* i *chorób duszy*, do których należeć ma np. zatwardziałość przestępcy na wyrzuty sumienia (str. 125), — w książce p. S. widzieć należy poważny przyczynek dla naszej oryginalnej literatury filozoficznej. Czytelnik zapoznać się z niej może łatwo z zasadniczymi punktami tak dziś rozgłośnej szkoły filozoficznej, i znajdzie jej ocenę słuszną, choć może nie zupełną. Wykład treściwy i wogóle ścisły, forma zawsze poprawna, często powabna, stanowią jeden więcej tytuł jej wartości. Nie rozumiem tylko, dlaczego autor używa terminu *przedstawienie* zamiast utartego *wyobrażenie* w znaczeniu niemieckiego *Vorstellung*. *D.*

H. Spencer **Szkice filozoficzne**. Warszawa, 1883. Wydawnictwo imienia T. T. Jeża.

H. Spencer, najbardziej może spekulatywny i syntetyczny umysł, jaki Anglia wydała, stąd nawet. choć niesłusznie. metafizykiem pozytywizmu zwany, w *Szkicach* swych już to kreślił ogólne podstawy swej filozofii ewolucyjnej, które następnie rozwijał w szeregu dzieł *Filozofii syntetycznej*, już to dotykał w nich szczegółowych zagadnień, które w samym systemacie pomieszczenia znaleźć nie mogły.

Szkice, niezależnie od wewnętrznej warcości, celują niezwykłemi zaletami formy: nadzwyczajna jasność i metodyczność wykładu, obfitość faktów, jednolitość podstawowej myśli, czynią z nich bardzo poważną książkę, zwłaszcza dla dyletantów w filozofii, i ten to urok formy stanowi w znacznej części przekonywającą ich siłę. Studenci petersburskiego uniwersytetu, wydając część szkiców dla uczczenia 25-lecia pracy literackiej Jeża, uczynili z nich wybór wogóle trafny. Pierwsze trzy rozprawy „o postępie,“ „organizmie społecznym“ i „hypotezie rozwoju,“ zapoznają czytelnika z ogólnemi zasadami filozofii ewolucyjnej, które w mniejszym lub większym stopniu odnajdujemy w szkicach o „pięknie w osobie ludzkiej,“ „o wdzięku,“ „pożytecznem i pięknem.“ Co do ustępów „o antropomorfizmie“ i „znaczeniu oczywistości,“ to można je było bez szkody opuścić, gdyż, jakkolwiek mieszczą słuszne obserwacye, uczą jednak nie wiele. „Teoryę łez i śmiechu“ lepiej było zastąpić gruntowniejszem studyum tegoż autora p. n. „Fizyologia śmiechu.“ W „Etyce więzień“ przeprowadza autor myśl, iż przestępca ponosić powinien tylko *naturalne* konsekwencye swego czynu; w „Moralności handlowej“ (chyba kupieckiej?) dotyka ważnej kwestyi zdemoralizowania kupieckiego, a w części i innych, przyczynę zaś tego upatruje w spotęgowanej żądzy *pokazania* się bogatym. Stąd główne lekarstwo przeciw temu widzi Spencer w reformie opinii publicznej, która dotąd nazbyt ceni stanowisko i bogactwo, zamało — cnotę i rozum. *J. W. D.*

LIBERUM VETO.

Skargi. — Oskubywane i głodzone ptaki. — Wielkie daniny. — Opodatkowanie pensyonarek. — Taksa na wdzięczność uczennic. — Tania filantropia. — Dowcip p. Łojki. — Łatwy sposób uszczęśliwiania ludzi. — Małżeństwo apostoła „wyższych celów.“ — Łza reportera wyciśnięta nową linijką. — Przepadłe wykrzykniki. — Śmierć wybawicielką i podwójny tytuł.— W. Dybek.

Ależ na litość panowie i panie, cóż ja tu poradzę? Obskoczyliście mnie z tyloma skargami, że ledwie je z listów waszych wysłuchać i powtórzyć mogę, bez poręczenia dobrego skutku apelacyi.

Same sprawy dam.

Gotującą się do odlotu z naszej opery pannę Herman chciałem przytrzymać za jedno (obywatelskie) piórko. Spostrzegłszy to pewien „stały prenumerator,“ woła: okrutny człecze, te ptaki muszą odlatywać, gdyż w rodzinnem gnieździe są tak niemiłosiernie skubane, że ich gospodarze porobili sobie już piernaty (w liście: „domy“). One muszą przecież żyć, a tu im każą śpiewać darmo, od czego boli nie tylko gardło, ale i serce, że ulubione sroki dostają najwyższe grządki i najobfitszy pokarm. Szanowny „prenumeratorze,“ wszystko to jest niezawodnie prawdą, ale jak trzeba być patryotą, choć przez dziewięć miesięcy deszcz u nas leje lub zimno mrozi, podobnie trzeba kochać swoją dziuplę teatralną, choć koło niej uwijają się sępy. Nie mówię o zagłodzonych, którzy rzeczywiście chleba gdzieindziej szukać muszą, ale o podskubywanych. Gdybym był śpiewakiem niedostatecznie wynagrodzonym, ale mogącym pracować dla swoich, nie opuszczałbym sceny rodzinnej, lecz tylko wyobrażałbym sobie, że u nas ona artystów teatralnych nałożone są olbrzymie — podatki. Rzeczywiście jest to klasa ludzi najbardziej obciążona: muszą składać daniny bądź w ofiarach pieniężnych, bądź w naturze... Co począć!

Pod tym względem szczęśliwsze są nieco uczennice pewnych pensyonatów, bo wprawdzie muszą opłacać się swym przełożonym, ale opłacają się tylko pieniędzmi i nieswojemi. Chociaż nie należy sądzić, że jest to podatek mały. I tak najdzielniejsza między warszawskiemi sekwestratorkami tak umiejętnie rozłożyła w roku imieniny, urodziny i inne uroczystości swej babki, matki oraz protegowanych nauczycielek, że pensyonarki prawie co miesiąc muszą składać „dobrowolny“ haracz. Ofiary mniejsze od rubla są źle widziane, a nawet karcone. Nieszczęście mieć chciało, że okrutny los imieniny pani przełożonej umieścił przy końcu lipca, a więc podczas wakacyj. Ale przecież niepodobna było stracić najważniejszego święta. Jakoż uczennice, dzięki życzliwym radom umyślnie do tego apostolstwa wyznaczonej guwernantki, poprawiają omyłkę losu i o miesiąc zbliżają ów dzień historyczny, czcząc go należnym okupem. Naturalnie tu o posunięciu się niżej rubla mowy być nie może. Gdy jedna z biednych panien ośmieliła się dać pół rubla, zburczano ją napomnieniem, że „przełożona nie jest żebraczką,“ ażeby przyjmowała tak drobne dary. Dzięki tej od lat kilku ustanowionej taksie, szanowna przewodniczka młodzieży żeńskiej posiada: aksamitną suknię, garnitur mebli, serwis srebrny itd. No, ale proszę korespondenta, który mi te szczegóły donosi, cóż ja na to poradzę, jeśli rodzice uczennic wyzyskiwanych, córki swe w nim umieszczają?

Co poradzę również z p. Łojko, na którego skarży się zwolenniczka wyższej wiedzy niewieściej? Szanowny ów filantrop ogłosił publicznie, że złożył w Banku Polskim kilkadziesiąt tysięcy rubli na uniwersytet kobiecy w Warszawie. Ród żeński zapłonął radością, zaczął zbierać dla dopełnienia funduszu składki a wspaniałego dobroczyńcę polecił nieśmiertelności; aż nagle pewna ciekawa (jak zwykle) niewiasta zbadawszy zapis w Banku Polskim, przekonała się zdumiona, że p. Łojko chciał sobie kupić sławę. Zastrzegł on bowiem, że da przyrzeczoną sumę z warunkiem, jeżeli wszystko do otworzenia uniwersytetu będzie gotowem wtedy, kiedy nic jeszcze gotowem być nie może; po tym terminie ją cofa. Jest to mniej więcej taki legat, jak gdybym ja obiecał dobra Ordynacyi Zamoyskich temu, kto na drugi dzień po wyjściu numeru *Prawdy* z moją deklaracyą przybędzie do Warszawy z Tobolska. Nie znaliśmy tylko przed p. Łojką tego dowcipnego sposobu, inaczej niezmiernie łatwo każdy z nas mógł uszczęśliwić ludzkość. Ale i dobry pomysł coś wart. Chociaż p. Łojko jest tylko znakomitym humorystą w filantropii, w tej roli przyznajmy mu pomysłowość. Jeżeli zaś ona nie wystarcza zawiedzionym kandydatkom do uniwersytetu kobiecego — czem je pocieszyć mogę?

Inną moją korespondentkę zabolało to, że pewien literat, przemawiający zwykle „w imię celów wyższych,“ poślubia zamożną dobrodziejkę, którą inny bogaty pragnął gwałtem odstąpić. Szanowna pani, zarówno mnie, jak moim czytelnikom, jest całkiem obojętne, z kim ów literat się żeni; nie myślę ani jego małżeństwu przeszkadzać, ani się dziwić, tem więcej, że nikt jego „wyższych celów“ nie brał na seryo a mało kto o nim wiedział. Zresztą o co idzie? Kiepski literat, przeprowadzony przez hymen na dobry wikt, daje rękojmię, że o literaturze zapomni, a to jest wielka dla niej korzyść — więc nie rozpaczajmy i przenieśmy uwagę naszą z prywatnych paskudztw na przedmioty ogólne.

Ach! jeszcze jedna i to może najrzewniejsza łza do otarcia. Biedny reporter płacze w liście na pewną gazetkę, używającą w rachunkach ze współpracownikami nowego przyrządu mierniczego. Żąda ona od nich, ażeby pisali swe artykuliki stylem ciętym, w zdaniach krótkich i szeregowanych od ustępu. „Dawniej — powiada skrzywdzony — nawet proste: *uf! oj— oj! fi!* liczono nam za cały wiersz, teraz zastosowano miarkę, która łączy wyrazy według oznaczonej skali i redukuje nam ilość wierszy. Skutkiem tego dyabli wzięli wszystkie *all right*, *probatum est*, *troppo tardo* i inne obowiązkowe wykrzykniki, które wprzódy rachowano nam osobno, a które teraz doliczają się do zdań poprzednich. A przecież nawet ogłoszenia płacą za miejsce.“ Wierzę, iż to jest bardzo przykrem, ale spłakany bracie, cóż ja ci pomogę, jeżeli to *probatum est*? *Troppo tardo* narzekać!...

Śmierć jest czasem litościwszą, niż najczulsze serca. W tych dniach wyzwoliła ona ze strasznych cierpień męczennicę — żonę Rembertowskiego. Biedna kobieta, zgnębiona ogromem hańby swego męża, padła pod tym ciosem. Nie mogła ona dłużej znieść widoku pręgierza, pod którym stał kochany przez nią kiedyś człowiek. Ogólny smutek towarzyszył jej zwłokom do grobu; zasłużyła na niego swoją cierniową koroną. Na coż zasługuje teraz jej małżonek, który odtąd nosić będzie dwa tytuły: złodzieja i mordercy? Nieszczęśliwe dzieci — co z niemi się stało? Mająż one czemś innem karmić się, niż sromotą ojca i łzami po stracie matki?

Około drugiej świeżej mogiły nie mogę również przejść bez kilku słów czci. Zmarł pod Łęczycą dr. Włodzimierz Dybek (syn słynnego lekarza), doktór medycyny, profesor b. Szkoły Głównej i... Nie wszystkie kwiaty, jakimi tę mogiłę ozdobić warto, po imieniu nazwać można. Po długiej tułaczce osiadł w Warszawie, gdzie w r. 1874 serce jego rozdarły ostatnie gromy: stracił od razu dzieci. Takie rany zabli-

żniają się tylko u zwierząt; komu bodaj jedna z nich otworzyła się w duszy, ten już nie żyje, ale wolniej lub prędzej zamiera. Dybek sądził, jak każdy zropaczony, że przed nieszczęściem uciec można: uciekł więc do Włoch. Ale cienie drogich istot ściągnęły go do kraju. Umarł pewnie bez żalu. O! zacny obywatelu — jakże cię żałuję, o zbolały ojcze, jakżo ci zazdroszczę!...

. . . .

Ponieważ od was, czytelnicy, jedynie zależę, więc was proszę o kilkutygodniowy urlop. Potrzebuję odpocząć. Będą to wszakże tylko wakacye osoby, nie pisma. Mandat *posła prawdy* przejdzie do zastępcy.

Poseł Prawdy.

W PERSPEKTYWIE.

Obfitość „karmi duchowej.“ — Mój spór z korespondentem *Wieku*. — Elastyczny przyrząd naszej społeczności. — Znaczenie kłonicy u nas. — Nieprzyjaciel oświaty ludowej. — Liryzm i policya. — Radosne okrzyki pracy, grająca tabakiera i nosy. — Dbałość o dobro ogółu.

Zbrodnia. Trzech zbójców na drodze wiodącej itd.

Morderstwo. Czterej nieznani złoczyńcy na szosie prowadzącej itd.

Straszna zbrodnia. Jacyś niewiadomi rozbójnicy w lesie itd.

Obfitość takiej „karmi duchowej,“ jaką uraczyły mię gazety w zeszłym tygodniu kazała mi przeklinać nie tylko całą naszę prasę, ale i zoologię p. Nowickiego, który w człowieku widzi „koronę stworzenia.“

Trzy takie „korony,“ usadowiwszy się niedawno w lesie za Kielcami, spadły na głowę „stworzenia,“ przejeżdżającego w postaci żyda. Wynikiem było pozbawienie izraelity jego dóbr doczesnych — w ilości rs. 180.

Śledztwo sądowe, które tym razem nie na próżno zużytkowało kilka liber papieru, wykazuje, iż trzej rabusie należeli do sfery „bardziej inteligentnej,“ że cieszyli się oni dawniej dobrą opinią i że kierowała nimi nie żądza zysku, ale... sprawiedliwości.

Podsądny O... ojciec dwóch dorosłych synów, z którymi wspólnie dokonał rabunku, zostawał przed laty w stosunkach handlowych z ojcem ograbionego, a, potrzebując pożyczki, zaproponował wspólnikowi, aby mu jej udzielił. Kupiec obiecał wystarać się o pieniądze z warunkiem, że otrzyma na nie rewers *z góry*. Żądany „papier“ znalazł się też niebawem w jego kieszeni, ale pieniędzy nie było. Upomniawszy się kilkakrotnie o zwrot rewersu, podsądny zapomniał wreszcie o nim, jako o dokumencie, który za dawnej organizacyi sądowej znaczenia wielkiego nie miał. Z nastaniem „nowych porządków“ i nowych przepisów starozakonny ujrzał się w możności wywindykowania niby należnej mu sumy — co też uczynił przy pomocy sądu i komornika.

„Fakt dopiero (!) przez nas opisany, powiada korespondent *Wieku*, wprawdzie pod żadnym pozorem nie łagodzi winy przestępców...“

Owszem, panie, łagodzi i to pod „wieloma pozorami.“ My również „nie mamy zamiaru bronić rabusiów,“ ale nie chcemy razem z panem wpaść w taką ze sobą sprzeczność, w jaką pan wpadłeś o kilka wierszy dalej. Zapytując siebie „czy ludzie ci popełniliby taki występek, gdyby nie złożyły się te dla nich nieszczęśliwe okoliczności?...“ nie poprzestaniemy na kilku kropkach i odpowiemy śmiało: nie popełniliby. Skoro zaś tak jest, to cóż ma łagodzić winę przestępcy, jak nie łagodzące okoliczności? Podsądny, szanowny prokuratorze *in partibus*, w przekonaniu swem, nie popełnił rabunku: on tylko wymierzył żydowi i sobie sprawiedliwość. Wszystko, cokolwiekbyś mu pan powiedział o szkodliwym wpływie samowoli, o spokojności społecznej — wszystko to wyda mu się niesmaczną sieczką morałów, do których ani umysłem, ani sercem jeszcze nie dorósł. Serce jego umiało tylko odczuć, że mu się stała krzywda; umysł powiedział mu, że krzywdy swej pomścić się ma prawo. Umysł ludzi prostych ma w sobie tę wadę, że się rachuje z faktami, dla tego też podsądny O. nie mógł uważać za dobrą i za słuszną takiej ustawy, która go, niewiadomo za co, pozbawiła znacznej części fortuny. Szatan gotuje już dla niego w piekle odpowiedni kociołek, ale to nie powinno powstrzymać nas od złożenia całej prawie winy na barki silniejsze — społeczeństwa. Katechizmowe poglądy w sprawach podobnych, za dużo dając roboty biednym dyabłom — za mało niepokoją sumienie ogółu.

Elastyczny ten przyrząd naszej społeczności jest teraz zapewne przedmiotem złośliwych uwag lucyfera, przed którym stanął w tych dniach niefortunny znachor, zamordowany kłonicami przez swoich pacyentów. Nawiasem polecę tutaj kłonicę względom wszystkich kustoszów naszej *swojskości*. Narzędzia tego używa u nas Opatrzność coraz częściej dla swoich nigdy niezbadanych celów, a nadewszystko do usunięcia z naszych oczu kurzej ślepoty. Wracam do faktu.

We wsi Kuczowie skradziono włościaninowi parę koni. W kilka dni potem przychodzi do niego sąsiad, wyrobnik, znany jako znachor i złodziej, oświadczając, iż za pewne wynagrodzenie wywróży, gdzie jest skradziona chudoba. Poszkodowany przystał chętnie na żądane warunki i wziąwszy ze sobą brata, wróżbitę i furmana pojechał najętymi końmi szukać zguby. Po kilkunastogodzinnej podróży prorok oświadczył, iż stosunki jego z duchami nie pozwalają mu jakoś odszukać skradzionych rumaków... Włościanie rozgniewani porywają za kłonice i biją znachora tak długo, aż „stosunki jego z duchami“ stały się zupełnie bliskie. Zamordowanego ukryli w krzakach i z lżejszem już sercem powrócili do domu. Korespondent *Wieku* pragnąc, jak widać, uczyć swych czytelników metody Sokratesa, rzuca znów i tutaj parę zapytań na temat: „co to będzie?“ Co do mnie, to wiem z pewnością, że nie będzie gorzej. Losu tego nadewszystko nie potrzebują u nas obawiać się wszelkiego rodzaju wróżbici i znachorzy. Jeżeli okrutna kłonica przecięła pasmo życia jednego z nich, za to tysiące faktów i ludzi pracują nad napędzeniem rubli do ich „świętobliwych“ kieszeni. Niech tylko raz na rok w jakiejś okolicy uda się p. aptekarzowi wydać strychninę zamiast chininy i otruć, jak się to stało w pewnej wiosce, kilka osób, a napewno połowa siermiężnych augurów całego kraju, znajdzie tam łatwy zarobek, ze szkodą zdyskredytowanej nauki i... lekarzy.

O ile bez wszelkich zastrzeżeń cieszyłbym się z zmiany tych smutnych nad wszelki wyraz stosunków, o tyle nie mogę podzielać radosnych uniesień naszej prasy z powodu obostrzenia przepisów o rozsiewaniu błędnych ekonomicznych wieści śród naszego ludu. Dla mnie istnienie sprytnych, wyzyskujących ciemnotę ludu oszustów, nigdy nie było kwestyą wielkiej wagi—a usunięcie ich przez „obostrzenia,“ ani możebnem, ani pocieszającem mi się nie wydaje. Faktem pierwszorzędnej doniosłości są tutaj nie oszuści, ale ciemnota ludu—grunt, na którym chwasty takie po wszystkie czasy krzewić się będą. Na pozór liryzm poetyczny nie wiele ma wspólności z policyą; w rzeczywistości jednak zaprzeczyć się nieda, iż nasz liryczno-poetyczny stosunek do poważnych objawów społecznego życia, nasza błoga nieznajomość poważniejszych wyników socyologii usposobiła nas arcy-różowo względem wszelkich tymczasowych środków represyi. Na widok policyanta, chwytającego rzezimieszków za kołnierz, śmiejemy się tak rozkosznie, jak dziecko, któremu dmuchanie na bolący palec sprawia chwilową ulgę... O zmianach organicznych w ustroju—pojęcia często nie mamy. Pytam cię, czytelniku, poważnie: co znaczy skazanie nawet na wieżę dziesięciu chociażby pokątnych doradzców, jeżeli jedenasty może, dzięki głupocie mas, objąć całą osieroconą przez kolegów klientelę? Za radosnymi wykrzyknikami prasy łączy się tu i owdzie stereotypowa piosnka o „społecznych utopiach,“ o „bałamuceniu zdrowego rozsądku bezsensownemi teoryami“ itp. Melodye tego rodzaju wygrywa od wieków nakręcana tabakiera, od której nosy są dość czułe, by mogły zwąchać pismo i dość leniwe, by chciały wziąść na się czysto okulary wiedzy. Kochane nosy! miejcież raz cywilną odwagę powiedzieć sobie, że siedzicie w rogu razem z tabaką, żeście się oddawna nic nowego nie nauczyli i nie przeczytali. Inaczej wasza dbałość o dobro społeczne zszarga się jak papierowa toga aktorska i z pod zasłony wyjrzy brudny egoizm, który będzie wyglądał tak: Do biura policyi w Kijowie wchodzi czterech „znanych“ złodziei, prowadząc piątego nowego. „Proszę pana komisarza, ten człowiek skradł złoty zegarek?“

—Hm!.. jaka dbałość o dobro społeczne—pomrukuje komisarz. Cóż was skłoniło do przyprowadzenia go tutaj? zapytuje głośniej rzezimieszków.

—Bo to my jesteśmy już swoi, a on obcy przybłęda jakiś, będzie nam tylko przeszkadzał w rzemiośle.

—A! rozumiem...

Maryan Bohusz.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 27 czerwca.

Sprawy kościelne. —Meetingi i obchody w Paryżu, Birminghamie i Jassach. —Skazanie Ludwiki Michel.— Wiadomości z Albanii.

Izba deputowanych sejmu pruskiego przyjęła ostatecznie prawo kościelne znaczną większością głosów. Chociaż Watykan stawiał większe wymagania, pogodzi się jednak z nową ustawą... do lepszych czasów, jak to uczynił przed kilku laty w zupełnie podobnych okolicznościach w Austryi. Pokój zawarty w Niemczech pozwoli Kuryi całemi siłami zwrócić się przeciw Francyi. Pierwsze strzały już padły. Papież w własnoręcznym liście do „najukochańszego syna Juliusza“ zwraca jego uwagę na prześladowanie kościoła, przejawiające się w rozporządzeniach przeciw zakonom, w nowym projekcie prawa rozwodowego i w uszczupleniu budżetu duchowieństwa (w tem leży węzeł kwestyi) i z bólem serca wzywa rząd francuski do poprawy, grożąc w przeciwnym razie zerwaniem. Gorzką pigułkę Ojciec św. stara się osłodzić komplimentami dla żony i zięcia prezydenta, a nawet dla bezbożnego Challemel-Lacoura.

Parlamenty zaczynają rozjeżdżać się na wakacye, ale mówcy nie próżnują; następuje bowiem pora najrozmaitszych meetingów i obchodów. W Paryżu odbyło się zebranie radykałów, poświęcone pamięci Garibaldiego. Podejmowano jego zięcia Canzio i wypowiadano gorące mowy o braterstwie Włoch i Francyi. Republikanie włoscy oświadczyli listownie swoją sympatyę francuzom, w Wenecyi odbył się nawet meeting i wysłał adres w tym duchu. Te objawy wzajemnej sympatyi narodów romańskich smutkiem zapewne przejęły ini-

cyatorów potrójnego przymierza. Gazety austryackie piorunują znów przeciw włochom. Ale gromy. nietylko dziennikarskie, ale nawet i dyplomatyczne niewiele pomogą.

Konserwatyści angielscy gniewają się również. Spotkało ich w ostatnich czasach wiele nieprzyjemności. Przy uczcie wydanej na cześć Johna Brighta w Birminghamie minister Chamberlaine w wielce nie lojalny sposób porównał urzędowe owacye dla koronowanych osób ze szczeremi objawami miłości ludu dla swojego obrońcy i przedstawiciela. Nie poprzestając na tem, oświadczył, że obecny parlament nie jest właściwem przedstawicielstwem narodu, większość bowiem wyborców jest bardziej od niego radykalną, wreszcie wygłosił potrzebę zaprowadzenia powszechnego głosowania i (o zgrozo!) postawienia na innych zasadach prawa własności. Drugą nieprzyjemnością jest bill, pozwalający się żenić z siostrą umarłej żony—oburzył on wielce wszystkich bigotów, których, jak wiadomo, nie brak w Anglii.

W Rumunii obchodzono uroczystość odsłonięcia pomnika hospodara Stefana Wielkiego. Z tego powodu kilku mówców wspominało o ziemiach rumuńskich, zostających jeszcze pod obcem panowaniem a jeden z nich, zwracając się do króla, wyraził nadzieję, że brakujące w jego koronie perły: Banat, Siedmiogród i Bukowina, wkrótce odzyskane zostaną. Król Karol rozentuzyazmował się do tego stopnia, że według plotki gazet wiedeńskich, zaczął tańczyć na placu przed pałacem.

Francuzi uwinęli się szybko na Madagaskarze, zająwszy wszystkie prawie porty. Obecnie toczą się układy o pokój. W Tonkinie za to sztandar zwycięski się nie posuwa. Radykaliści potępiają politykę kolonialną gabinetu i starają się go obalić. Oprócz interpelacyi w sprawie tonkińskiej zamierzają oni również wnieść do Izby petycyę o ułaskawienie skazanych w Lyonie, Montceau-les-Mines i Moulins—anarchistów. Wartoby do amnestowanych włączyć i Ludwikę Michel. Nieszczęśliwa ta waryatka skazaną została przed paru dniami na 6 lat więzienia za podżeganie do rabunku.

Tureccy generałowie donoszą, że powstanie w Albanii uważać można za stłumione. Trudno temu wierzyć, bo powstańców w górskich miejscowościach nie tak łatwo osaczyć a powtóre raporty baszów prawdomównością nigdy nie grzeszą. Chyba, że był to raczej z samego początku ruch nieznaczny, który dzienniki rozdęły do większych rozmiarów.

CUDZE GŁOSY.

Szowinizm sejmu dolno - austryackiego. Sprawa decentralizacyi państwowych kolei żelaznych w Austryi t. j. przeniesienia zarządów czeskich do Pragi, galicyjskich do Lwowa, ciągle jeszcze napotyka zaciekły opór. Wrogie dzienniki poświęcają jej nie szpalty, ale kolumny całe dla wykazania czarno na białem, że czesi i polacy dążą do zrujnowania Wiednia pod względem materyalnym i wypędzenia niemców ze wszystkich posad. W ostatnich czasach sprawą tą zajął się także sejm dolno-austryacki, którego komisya gminna przeciw decentralizacyi występuje otwarcie z tego jedynie powodu, że wielu urzędników wyniesie się z Wiednia, wskutek czego wiedeńscy i okoliczni producenci poniosą wielkie szkody, dla niemców zaś wogóle straconą będzie na zawsze możność otrzymania posady w Galicyi. Dobrze, że przynajmniej „strategicznym względom“ dała komisya spokój. Na motywa jej, przytoczone powyżej, *Nowa Reforma* odpowiedź daje taką:

„Godzi się zapytać, czy Wiedeń jest jedynem miastem monarchii? Czy w interesie Wiednia streszcza się cały interes państwa? Czy inne miasta nie mają już prawa do bytu, do wzrostu i do opieki rządu? Wiedeń ma instytucye, które żyją tylko z tego, czego dostarczą i zarobią prowincye—jak polip wyciągnął on ramiona do samych granic państwa, aby z nich brać soki żywotne dla siebie. Czyż ta pasorzytna natura ma być jedyną racyą bytu stolicy państwa?

A co się tyczy posad, to dzisiaj polacy nietylko w tych kolejach, które przecinają inne prowincye, są prawie od nich wykluczeni, ale i w swoim własnym kraju muszą ustępować niemcowi. Gdyby wskutek decentralizacyi wszystkie posady na galicyjskich kolejach zajęli polacy, byłoby to tylko wymiarem sprawiedliwości. I staje tu przed sejmem dolno-austryackim taka alternatywa: albo zajmuje on stanowisko austryackie a wtedy powinno mu być obojętnem, czy niemiec, czy polak zajmuje posadę, jeżeli on tylko jest obywatelem austryackim—albo stanowisko jego jest narodowo-niemieckiem, a wtedy ma prawo żądania, aby niemcy urzędowali na liniach prowincyj niemieckich, nam zaś musi przyznać toż samo prawo na liniach galicyjskich.“

Pisana a rzeczywista zgoda. Jak już czytelnikom naszym wiadomo, pojawiła się niedawno w Galicyi pogłoska, że na tegorocznej jeszcze sesyi sejmowej jeden z najwięcej wpływowych posłów wystąpi z wnioskiem, zmierzającym do ułożenia jakichś punktów ugody polsko-ruskiej. Wiadomość tę wobec obopólnej niechęci do poczynienia w kierunku tym pierwszych kroków przyjąć by należało z jaknajżywszą sympatyą. Dlatego też nawet ci, co w pierwszej chwili na wieść o upadku rusinów przy wyborach nie widzieli innej z fatalnego położenia drogi wyjścia, jak secesyę ruskich posłów z sejmu — na wiadomość powyższą (nie mogącą już uledz zaprzeczeniu) zmienili pierwotne zdanie i doradzają wyczekujące, przynajmniej do czasu, stanowisko, aby wina nieprzyjścia do skutku porozumienia nie spadła na secesyonistów, których, jakkolwiek jest ich tylko dziewięciu (resp. dziesięciu a nie jedenastu, jak podano mylnie w rubryce *Tydzień polit.*) uważać należy za jedynie prawowitych przedstawicieli ludu ruskiego w sejmie galicyjskim.

Wieść o zamierzonych układach rozmaicie przyjęły dzienniki galicyjskie. Najcharakterystyczniejszym z pewnych względów jest głos *Nowej Reformy*, która obok *Kuryera lwowskiego* jest pismem w Galicyi bez wątpienia najwolnomyślniejszem i najwięcej demokratycznem, a jako taka, powinnaby więcej sprzyjać żywiołowi ruskiemu, niż to czyni w rzeczywistości. Zaznacza ona wprawdzie nieraz sympatyę swoją dla nich — którez bo zresztą z pism galicyjskich nie czyni tego na każdej szpalcie! — ale „w następstwach,“ jeżeli wogóle zdecydowałaby się na nie kiedykolwiek, nie poszłaby z pewnością zbyt daleko. Otóż, jeżeli się nie mylimy, organ krakowskich postępowców przestraszył się cokolwiek na samą już wiadomość, że ktoś zamierza wystąpić nie na żarty z projektem uwzględnienia słusznych żądań rusinów. Powód zaś obawy wyszukała sobie *Nowa Reforma* aż .. w atramencie!

„Przyznajemy—powiada—że, jak jesteśmy stanowczo za zgodą, za użyciem wszelkich (?) środków do zgody tej zmierzających, naturalnie o tyle, o ile itd.—tak obawiamy się niesłychanie wszelkiej próby ugody pisanej, sparagrafowanej, formalnie zawartej. Obawiamy się jej właśnie dla tego, że zagraża ona zgodzie.“

Nagość sofisteryi powyższego zdania potrzeba było oczywiście czemś okryć — czyni to gazeta w sposób następny:

„Jeśli zawezwiemy posłów ruskich, aby przedłożyli jakieś dokładnie sformułowane żądania, niewątpliwie między nimi samymi powstanie spór i trudno im będzie o zgodę. Jeżeli zwycięzą skrajni i postawią warunki, których polacy nie będą mogli przyjąć, już ugoda będzie tem samem rozbitą. Jeżeli zaś zwycięży kierunek umiarkowany, może przyjść do skutku ugoda pisana, ale nie będzie zgody, skrajni bowiem nie przestaną wichrzyć. Walka, tocząca się dzisiaj i nadal toczyć się będzie.“

Ponieważ *Nowa Reforma* nie wspomniała w powyższym artykule ani razu o świętojurcach i ukraińcach, przyjąć musimy, że określiła ich niby synonimowymi, w rzeczywistości niewłaściwymi terminami: „skrajni“ i „umiarkowani.“ Nazwijmy ich właściwem imieniem! Otóż ci ostatni są rusinami, pierwsi — rosyanami. Nie wiemy, z kim *Nowa Reforma* przypuszcza możliwość układów, zdaje nam się atoli, że posłowie polscy w sejmie ani z obydwoma równocześnie stronnictwami, ani tem bardziej z samymi świętojurcami nie będą rokowali o zgodę. Wogóle bowiem ugoda jest możliwą tylko z jednem, albo drugiem stronnictwem — z obydwoma równocześnie pomyśleć się nawet nieda, bo przepaść, dzieląca obydwie partye ruskie jest pomimo chwilowego porozumienia niewątpliwie bez porównania głębszą, aniżeli rozdział między polakami a stronnictwem ukraińskiem.

Nie podlega wątpliwości, że tylko z tymi ostatnimi posłowie polscy będą usiłowali ustanowić warunki *modus vivendi*, czy nawet trwałej zgody, a to tem bardziej, że w sejmie, prócz paru wątpliwej barwy, na ławach ruskich zasiędą sami tylko ukraińcy. Że zawartej z nimi zgody *Słowo*, *Nowy Prołom* nie zaakceptują, więcej niż pewna; ale natomiast doprowadzą polacy galicyjscy do skutku pokój z całym ludem ruskim, Obawa *Nowej Reformy* jest zatem nieuzasadnioną. Trwożyć się nam należy nie o rozbicie sojuszu ukraińców z świętojurcami, ale przeciwnie jego utrwalenia. Temu zaś przeszkodzi bez wątpienia ugoda z partyą *Diła*, która tem większą będzie miała wartość, im dokładniej zostanie sformułowaną. *Pisanej* ugody nie powinien się obawiać nikt, kto ma szczerą chęć dotrzymania jej warunków.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Gen. Hurko przyjąć ma udział w obradach komitetu, zwołanego w Petersburgu pod przewodnictwem hr. Tolstoja, dla rozstrzygnięcia ważniejszych kwestyj rządowych w Królestwie Polskiem.

Aresztowanie Kraszewskiego nie przestaje być zagadkowem: siedzi on bowiem ciągle w więzieniu, wypuszczenia go za kaucyą władze pruskie odmawiają a jednocześnie pisze on do jednego z wydawców warszawskich, że został zaaresztowany z powodu niezrozumiałych dla niego okoliczności.

Komunikat urzędowy w sprawie ugody z Kuryą przedstawia historyczny przebieg układów i wylicza ważniejsze zmiany, jakie w stosunkach kościelnych zaszły. Trzy dyecezye: podlaska, podolska i mińska zostają zniesione. Kurya przyznaje rządowi prawo kontroli nad wykładem języka, historyi i literatury rosyjskiej w seminaryach. Co się tyczy wykładu nauk kanonicznych i karności wewnętrznej, prawa biskupów nie ulegają zmianie. Rząd oświadczył, że obstaje przy zamiarze usunięcia przy pierwszej sposobności t. z. środków wyjątkowych względem duchowieństwa i uchyli §. 18 Ukazu z d. 18 grudnia 1865 r. ograniczający prawo biskupów usuwania podwładnych księży z posad. W końcu komunikat nadmienia, że rząd nie spuszczał z uwagi zasadniczej myśli polityki w kwestyi katolickiej, a zatem przyznając hierarchii zupełną swobodę w rzeczach religii i kościoła, nie dopuści mieszania się jej do rzeczy świeckich.

Prasa polska. *Echo Łomżyńskie* przestaje wychodzić dla braku materyalnego poparcia; szlachta nie chce go prenumerować, ponieważ obraziła się za słowa prawdy w kwestyi robotników folwarcznych i parcelacyi. *Echo* wyróżniało się korzystnie od innych pism prowincyonalnych.

Prasa rosyjska. Miesięcznik *Nabludatel* za „godny potępienia kierunek,“ ujawniony pomiędzy innemi w artykule „Nasze sprawy wewnętrzne“ i „Przeglądzie

współczesnym" w 6 numerach z b. r. otrzymał pierwsze ostrzeżenie.

— Od 1 lipca wychodzić zacznie *Golos* pod tąż samą redakcyą, *Strana* zaś, której termin zawieszenia już minął, przestanie wychodzić.

Zapomoga rządowa w kwocie 150,000 rs. ma być odjęta tutejszym zakładom dobroczynnym od 1884 r.

Jubileusz. W Królowej Hucie obchodzono jubileusz poety ludowego górno-szląskiego, Juliusza Ligonia. Jubilat jest biednym rzemieślnikiem.

Helena Markowicz, jak się ostatecznie przekonano, została uduszona. Nie pierwszy to już raz w ten sposób rząd serbski załatwia się z przestępcami politycznymi. Dobry jest ten liberalizm serbski, naprzód jawnie ułaskawia, a potem tajemnie dusi.

Propinacya Ojca św. Kartuzi we Francyi, wyrabiający sławny likier *Chartreuse*, połowę dochodu ze sprzedaży tego napoju ofiarowali papieżowi.

Bibliografia polska. Alexy Hempel: *Przegląd krytyczny pracy Juliana Łapickiego* p. t. Stosunki gminne w Królestwie Polskiem, oraz potrzebne jej uzupełnienie (na dochód *Gazety Sądowej* warszawskiej) — Warszawa.

— Dr. J. Polak. *Wychowanie dzieci* u rozmaitych narodów (streszczenie z niemieckiego). Warszawa,

— H. Wald. *O sympatyi*, przekład z niemieckiego — Warszawa.

— *Śpiewnik warszawski*, ułożył J. Cybulski, Warszawa.

— Józef Łaski *Jan Sobieski*, jego rodzina, towarzysze broni i współczesne zabytki. Zeszyt II-gi (z rycinami).

— Jana Kochanowskiego *Dzieła wszystkie*. Wydanie pomnikowe, tom I, Warszawa.

Bibliografia zagraniczna. W Buenos-Ayres wychodzić zaczął dziennik p. t. *Iskra slovanske svobode* w języku czeskim i hiszpańskim.

— Dr. Gumplowicz, prof. w Gratz, wydał nowe dzieło p. t. *Der Rassenkampf*, Sociologische Untersuchungen.

Erudycya poczty. Na imię znanego kompozytora rosyjskiego Michała Glinki, zmarłego bardzo dawno, przyszedł list z Lyonu od jakiegoś francuza, z prośbą o przysłanie mu kilku utworów. Zarząd pocztowy w Moskwie przetłomaczył adres (nb. bezsensownie) i przesłał list do Małego Teatru dla doręczenia — Glince.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. Kor. Met. w Warszawie. Rękopis jest od kilku tygodni do odebrania w kantorze *Prawdy*.

P. Wandzie L. Gdyby zaznaczony przez Panią zwrot był błędny, wyraz *pieszo* nie mógłby być nigdy użytym. W języku często logika ustępuje zwyczajowi i skutkiem tego: *iść pieszo* ma równe prawo obywatelstwa jak: *płynąć wodą* lub *fruwać po powietrzu*.

P. Z. Dorn. Wyczerpane.

P. A. Obertyńskiemu w Lanck. Na kwartał III pozostał tylko rs. 1.

P. Julianowi K. w Bohajówce. Można — rs. 13 rocznie.

P. P. Na wywód Pański zgodzić się nie możemy, kto przeszedł ospę naturalną, może być bardziej ubezpieczonym, ale ilu jej nie wytrzyma? Statystyka i medycyna kwestyę tę, zdaniem naszem, stanowczo rozstrzygnęły na korzyść szczepienia. Dziś szkarlatyna przechodzi naturalnie — i zabiera straszne procenty śmiertelności,

Wieśniakowi. Wystąpienie z takim projektem byłoby już spóźnione i daremne.

Sprostowanie. W artykule „J. Turgeniew" nr. 25 *Prawdy* str. 296, szp. 3, w. 24 zam. zdanie czyt. *zdrowie*; w. 24 zam. znakomicie czyt. *zręcznie*; w. 42 zam wielkiego czyt. *wszelkiego*,

Ogłoszenia.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Цензурою. Варшава, 17 Іюня 1883 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.